MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 4. WARSZAWA, 27 STYCZNIA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

POZA NARODEM

OPINJA publiczna pozostaje pod wrażeniem aktu, którego dokonał Senat, uchwalając ustawę o konstytucji Rzplitej. Byłoby rzeczą trudną zanalizowanie tego uczucia z tego względu, że należy ono do stanów duchowych biernych, polegających na przyjmowaniu do wiadomości rzeczy nieobojętnej, a jednak jakiejś fatalistycznej i zewnętrznej. Gramy o swój los i niby swemi rękami, bo z wolą swego przedstawicielstwa, wyrażaną głosowaniem, ale nawet ci, co głosują, nie umieliby wytłumaczyć się ze swej decyzji. Większość milczy, jak grób, wykonywając biernie ruchy, wymagane przez „konjunkturę". Coś się stacza po pochyłości, ktoś oficjalnie wysunięty gada, motywuje, robi entuzjazm, ale nikt tego nie słucha, bo to wszystko jedno. Mówi coprawda także opozycja, pilnie przez wszystkich słuchana, ale zgóry się wie, że mówi na użytek historji ponad dziejącą się rzeczywistością.

Pochyłość zaczęła się w r. 1926. Obecnie troską twórców przewrotu stało się zapewnienie trwałości faktu dokonanego. Historja projektu nowej konstytucji jest znana. O samym projekcie pisaliśmy parokrotnie, ostatnio 16 grudnia r. ub. (nr. 53 „Na widowni"). Logika zdarzeń była dość prosta. P. Sławek, mając sobie zleconą tę sprawę, a nie znajdując dostatecznej kompetencji w swem kółku, udał się do adwokata. Ten prędko zorjentował się w sytuacji, a przedewszystkiem w tem, że działać trzeba szybko, i rozejrzał się za współpracownikami według brygad, nie licząc zbytnio na pomoc pierwszej. W Senacie, na który obliczona była rozgrywka, widzimy, że sprawę ujęły w ręce czynniki, znacznie oddalone od jej punktu wyjścia z r. 1926.

Senat znalazł się w roli rejenta, który projektowi aktu ma nadać przepisową formę. Była to rola, wobec zgóry wiadomej większości, mechaniczna. Adwokat w szatę naprzód tez, a potem ustawy ubrał plenipotencję, wystawioną przez ogół populacji kraju na rzecz przyszłego prezydenta, plenipotencję nieograniczoną i oczywiście *in blanco*. Wartość ustawy polega, jak wyrażają się projektodawcy, na elastyczności ustroju, skupiającego wolę państwa w jednej osobie. Wybór zaś tej osoby zależeć będzie od 80 elektorów z łona władz, Sejmu i Senatu. Prezydent będzie miał prawo wskazywać swego następcę, stanowisko więc prezydenta nie będzie potem elekcyjne; najtrudniejszy będzie początek. To też cała gra polityki wewnętrznej najbliższych czasów polegać będzie na dobraniu owych pierwszych elektorów. Nie będzie tam oczywiście nikogo z opozycji, gra polityczna odbywać się będzie między t. zw. „brygadami". Czy pierwsza z nich, która inicjowała zmianę konstytucji, utrzyma się przy sterze tą drogą, o tem można wątpić, sądząc z dotychczasowego biegu sprawy.

Znamieniem głównem projektowanej konstytucji jest troska o polityczną elastyczność ustroju, aby nie był zbyt sztywny, a tę sztywność wytwarza oparcie ustroju na żelaznem prawie. Punkt ciężkości ustroju projekt przenosi z dziedziny prawa na politykę, z *ratio legis* na rację stanu. Artykuł X zasad (t. zw. dekalogu) głosi: „Żadne działanie nie może stanąć w sprzeczności z c e l a m i P a ń s t w a. W razie oporu Państwo stosuje środki przymusu". Nigdzie zaś nie określono, jak poza ustawami orjentować się ma obywatel w celach państwa. Artykuł 10-y jest szerszy od wszystkiego, co mogą określać wszystkie ustawy razem wzięte i obejmuje nietylko rację bytu, rozwoju i równowagi państwa, lecz i chwilowe względy taktyki rządowej, aż do subjektywnego poglądu funkcjonarjusza państwowego.

Najważniejszym punktem dyskusji był fakt pominięcia w ustawie podmiotu prawa państwowego w znaczeniu historycznem, mianowicie Na-



rodu. Projekt usunął z owej plenipotencji moment bardzo ważny, bo właściciela owego dobra, które w ustroju państwowym staje się „wspólnem dobrem wszystkich jego obywateli" (art. 1). W razie wygaśnięcia tej plenipotencji, do kogo wraca własność? — oto pytanie. Historja na rozmaite próby naraża istnienie państwa (myśmy je przebywali), przecież zawsze ujawni się fakt własności, że wątek dziejów spoczywa w ręku narodu. Czemuż więc tego faktycznego stanu rzeczy nie zaznaczyć w takiej okazji, jak ta obecnie? Adwokaci projektu (Car, Makowski) wyjaśniali, że Naród jest koncepcją poetycką, nieznaną prawu. Na tem samem stanowisku stanęli w Senacie: referent hr. Rostworowski (konserwatysta) oraz ideolog ustawy p. Ewert (demokrata liberalny). Znaleźli ci wszyscy myśliciele jakąś wspólną „platformę", tak odległą od życia konkretnego, że Narodów z niej nie widać.

Taką platformę wytworzyły w wieku XIX organizowane przez masonerję doktryny kosmopolityczne, obecnie wychodzące już z mody. Jak widzimy, państwa zachodnio-europejskie, dążące do odrodzenia, walczą skutecznie z tem wstecznictwem, tylko u nas, zaniedbane w kulturze politycznej stronnictwa, szukają w tych doktrynach źródeł sanacyjnych dla państwa. Błąd polega na tem, że odkrywcy państwa, przeciwstawionego narodowi, urywają swoją wiedzę o życiu na racji stanu, podczas gdy nad tą racją góruje racja historyczna osobowości politycznej, oddająca prerogatywy suwerenności narodowi, jako twórcy i właścicielowi państwa.

Prawdę tę znakomicie oświetlili podczas dyskusji w Senacie dwaj przedstawiciele Klubu Narodowego, znani powszechnie w kraju i czcią otoczeni politycy, senatorowie Głąbiński i Bartoszewicz. (Mowy te, stojące na wysokim poziomie krasomówstwa parlamentarnego i mądrości politycznej, ogłoszone zostały w całości w nr. 24 „Gazety Warszawskiej"):

„Z dziwnych jakichś przyczyn" — mówił prezes Głąbiński — „nie tylko usunięto z dawniejszej Konstytucji wstęp, oparty na zasadzie narodowej i chrześcijańskiej, ale wogóle wyjęto wszystkie ustępy, w których była mowa o narodzie. Niema tam mowy o narodzie polskim, nawet z proponowanej formuły dla przysięgi prezydenta Rzeczypospolitej wyrzucono naród polski. Dlaczego naród polski wyrzucono? Pytaliśmy o to w komisji konstytucyjnej i powiedziano nam: naród to nie jest jakieś określone pojęcie prawne, jakiem można operować w Konstytucji.

Przeczytaliśmy tak zw. dekalog, tych 10 artykułów wstępnych naszej Konstytucji, czy tam nie roi się od pojęć, które zupełnie nie są pojęciami prawnemi — o dobru powszechnem, o pokoleniach. o zasługach pokoleń, o granicach dobra powszechnego? Czy to są pojęcia prawne, ściśle ujęte? Nie. Lecz wyrazy te utrzymały się, pozostały, a tylko naród musi być wykreślony.

Wysoka Izbo. Według naszego przekonania, nie kto inny, tylko Naród Polski stworzył to państwo, i przyczynił się do wskrzeszenia naszego państwa. Nie kto inny, tylko Naród Polski utrzymuje siłę tego państwa, bo jest gotów każdego czasu poświęcić się dla państwa, łożyć ofiary dla państwa i nie kto inny tylko naród polski jest rękojmią przyszłości państwa. Chciałbym być sprawiedliwym dla wszystkich innych narodowości, ale jednakowoż musimy pamiętać wszyscy o tem, że w razie jakiegokolwiek niebezpieczeństwa tylko ci, którzy są związani duszą z tem państwem, tylko ci będą gwarancją obrony, istnienia i przyszłości tego państwa".

Moment ten szczegółowiej rozwinął sen. Bartoszewicz:

„Historja Polski" — mówił — „datuje się przecież nie od lat piętnastu czy ośmiu. Pamiętamy, że Polska istnieje już od wielu setek lat, że w tej historji naród polski odegrał wielką rolę twórczą, że stworzył przedewszystkiem swoje państwo, że on Polskę reprezentował w naszych dziejach, w dobrem czy złem, że ten naród polski przez szereg wieków czynnie pracując nad urządzeniem swego państwa, stworzył swoją własną Konstytucję wtedy, kiedy się jeszcze wielu innym narodom europejskim o tem nie śniło. Mieliśmy kiedyś, bardzo dawno temu, swoją własną Konstytucję. Jedynie Anglja i Węgry na kontynencie europejskim mogą się obok Polski takiem dziełem poszczycić.

Tak więc naród polski był czynnikiem, którego nie można ani lekceważyć, ani zapoznawać. Istotnie, jest rzeczą dość dziwną i trudną do wytłumaczenia, dlaczego panowie z obozu sanacyjnego tak unikają wyrazu — naród. Czy powodem tego jest animozja, czy dziwna idiosynkrazja, bo nie chcę przypuszczać, żeby mogła być to zupełna nieznajomość naszej historji.

Naród jest to formacja historyczno-polityczna. To jest związek ludzi, którzy w dłuższym okresie niezawisłego bytu politycznego wyrobili sobie pewien jednolity sposób zapatrywania na najistotniejsze zagadnienia bytu i rozwoju swej Ojczyzny i na ważniejsze zadania, jakie ich państwo ma do spełnienia. To jest polityczne pojęcie narodu i z tego punktu widzenia na naród patrzymy, mówiąc o sprawach ustrojowych. Dla nas naród nie jest pojęciem tylko etnograficznem. Naród, w naszem rozumieniu, jest organizacją polityczną. Naród Polski, tak jak był ongiś w Polsce, tak i dziś w Polsce winien być czynnikiem panującym, dzierżycielem najwyższej władzy zwierzchniej w państwie, czyli, mówiąc z cudzoziemska, jemu przysługuje suwerenność.

Z drugiej strony naród polski dla nas — to nie jest pojęcie równoznaczne z ogółem ludności prawno-politycznie do państwa polskiego przynależnej. Teoretycznie możliwy jest taki idealny stan rzeczy, w którym te dwa pojęcia zgadzają się ze sobą. W praktyce jednak rzadko tak bywa, a w Polsce daleko jest od tego ideału. Możeby stan rzeczy w Polsce był dzisiaj inny, możeby naród polski zaszedł daleko dalej, gdybyśmy nie byli wpadli w długoletnią niewolę i gdyby polityka państw zaborczych temu procesowi nie przeszkadzała przez podsycanie plemiennych różnic i rozbudzanie przeciwko Polsce uczuć niechętnych i nienawistnych. Dzisiaj, w odbudowanej i niepodległej Polsce, proces ten przy mądrych rządach mógłby iść naprzód naturalnym torem.

Trzeba podkreślić, że czynny sentyment do Polski jest może najważniejszym warunkiem przynależności do narodu polskiego. Kto nie ma patrjotyzmu polskiego, ten za członka narodu polskiego uważany być nie może.

Tak rozumiejąc i biorąc pod uwagę polską rzeczywistość, musimy powiedzieć, iż proces ujednolicenia narodu polskiego z ludnością jego państwowego terytorjum ma swoje nieprzekraczalne granice. Zapewne, są w Polsce żywioły etnograficzne i językowe, które z czasem mogą się zlać politycznie z narodem polskim, ale jest jeden żywioł, który tego uczynić nie może, nawet gdyby chciał, i którego my z naszej strony do narodu polskiego zaliczyćbyśmy nie chcieli. Tym żywiołem są żydzi. Dlatego trzeba dać Polsce taki ustrój i takie urządzenia, ażeby żydzi nie mogli mieć żadnego, bezpośredniego, czy pośredniego wpływu na losy Polski".

Były w tej pamiętnej dyskusji i inne punkty sporne — polityczne i prawnicze, dotyczące władzy prezydenta, zasad wolności i t. p., wszystkie te kwestje jednak nie miały tego znaczenia, co streszczony wyżej spór o istnienie narodu. Sprawa konstytucji zgóry była przesądzona; opozycja nie zapobiegłaby takim czy innym artykułom pośpiesznie i nieodpowiedzialnie redagowanej ustawy; ale ten punkt, tyczący narodu, musiał być wytoczony przed opinję publiczną. Tutaj „sanacja" poniosła wielką klęskę moralną. W tej chwili może ona nie docenia jeszcze strat moralnych, jakie na tym „odcinku" poniosła. Nie zrównoważy ich wynik głosowania nad ustawą, ani nawet wymowa senatora Ewerta, który powagą swego tradycjonalizmu polskiego sytuację chciał ratować.

Po tej dyskusji już wiadomy jest społeczeństwu sens i walor moralny zamierzeń reformacyjnych. Słusznie sen. Głąbiński zrobił, przypominając twórcom frazeologicznego dekalogu w projekcie konstytucji, że my, Polacy, trzymamy się innego dekalogu, który się zaczyna od słów: „Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną". Z. W.

Z TAJNIKÓW POLITYKI ŻYDOWSKIEJ

(Ciąg dalszy)

W PRZECIĄGU kilku tygodni przed Kongresem trwały układy nad kwestją powołania prezydjum. Lewica żądała kategorycznie niedopuszczenia do prezydjum kongresowego rewizjonistów. Porozumienia nie osiągnięto. Kongres otwarto przez to z opóźnieniem jednodniowem, bez prezydjum, które zostało wybrane dopiero później.

Już ta jedna kwestja groziła rozbiciem Kongresu. Lewica nie ustępowała—reszta broniła rewizjonistów. Walka doszła do punktu, w którym zaproponowano, by Kongres nie wybierał wogóle prezydjum, zaś funkcje jego miało spełniać prezydjum Komitetu Wykonawczego (A. C.)

„Wówczas zaproponowano lewicy, aby jako najsilniejsza partja wzięła inicjatywę i złożyła prezydjum ze swego grona, i sama wzięła odpowiedzialność za kierownictwo kongresem. Ale lewica, która rozumną prowadzi taktykę, na to się nie zgodziła". „Rozłam wśród ogólnych syjonistów zarysował się groźnie". („Chwila" nr. 5184).

Osiągnięto wreszcie kompromis. Każda partja wysunęła kandydatów do prezydjum, na których *plenum* głosowało. W głosowaniu kandydatury Rewizjonistów i Mizrachi upadły. Tak wyglądała „dramatyczna walka o prezydjum Kongresu". Lewica odniosła sukces taktyczny.

Wybrani zostali: przewodniczący: Leo Motzkin, wiceprzewodniczący: M. M. Uszyszkin, członkowie: dr. Rufeisen, Kapłański, Szprincak, Kapłan, Grünbaum. W skład prezydjum weszło zatem 3 syjonistów ogólnych, 3 socjalistów oraz radykał.

Uroczystości otwarcia przewodniczył dotychczasowy prezydent — Nachum Sokołow. Powiedział on m. in.:

„Czas nagli! uczuwamy usuwanie się gruntu z pod stóp!"

Lewica zjawiła się na otwarcie z czerwonemi goździkami w klapach marynarek—kwiaty owinięte były krepą. Na otwarciu byli obecni: przedstawiciele rządu mandatowego (Anglji), gospodarzy—rządu czeskiego, Ligi Narodów (dyrektor sekcji mandatowej Catastini)— oraz przedstawiciel Rządu Polskiego — (poseł polski w Pradze, dr.Grzybowski). Prócz tego naradom przysłuchiwał się naczelnik wydziału narodowościowego, p. Suchenek-Suchecki.

W tym czasie „poseł Rosmarin odbył konferencję w poselstwie Polski w Pradze. W wyniku konferencji załatwione zostały pewne sprawy między Rządem Polskim a Organizacją Syjonistyczną". („Chwila" № 5181).

Komisje kongresowe, w liczbie ośmiu, ukonstytuowały się następująco: 1) Komisja główna: przewodniczący — Remes (lewica), 2) polityczna: przewodniczący — Rottenberg i M. Ringel (ogólni), 3) organizacyjna: przewodn. — Ben Gurion (lewica), 4) finansowa: przewodn.—N. Landau (ogólni), 5) palestyńska: przewodn. — Szkolnik (lewica), 6) oświatowa: przewodn. — dr. A. Lewinson, 7) emigracyjna: Kachnary, 8) nadzwyczajna do badania sprawy rewizjonistów (sprawa zabójstwa Arlosoroffa) w składzie: Uszyszkin, Jakobson, Motzkin, Brodecki (ogólni), rab. Berlin (Mizrachi) oraz dr. Goldmann (radykalni). Komisja ta odegrała ciekawą choć niewdzięczną rolę w tej tak drażliwej sprawie.

*

Znamy już genezę mordu dokonanego na Arlosoroffie. Popełniono go naskutek zatargu pomiędzy ugrupowaniami żydów Wschodnich, których jądro stanowi lewica (Liga pracującej Palestyny) — a żydostwem Zachodu Europy i Ameryki. Pierwsi, uważając, że klęski hitleryzmu nic usunąć nie zdoła, uznali, że należy ratować — o ile się da — żydów niemieckich wraz z ich mieniem. Stąd układy i umowy pomiędzy nimi a rządem niemieckim.

Żydzi zachodni, prąc całą mocą do zniszczenia hitlerowskich Niemiec wszelkiemi możliwemi środkami, wśród których planowy bojkot ekonomiczny miał być tylko częścią szerszego programu—marzyli o możliwie szybkiej „wojnie prewencyjnej" przeciw Niemcom. Konsekwencyj dalszych takiej wojny niktby przewidzieć nie zdołał. Mogłaby ona skończyć się, wygodną dla żydów Zachodu, rewolucją światową (*Weltoktober*) równie dobrze jak— zmierzchem Izraela. Antysemityzm bowiem, nietylko w krajach masowego skupienia żydów, lecz i w innych wzrósł niepomiernie i niewiadomo, jak wyglądałoby żydostwo po wstrząsie wojennym, tembardziej, że los żydów niemieckich w chwili jej wybuchu byłby przesądzony. Żydzi wschodni zatem uważali, że wojna jest to „samobójstwo w obawie przed śmiercią naturalną". Zatarg ten, na tle rozwijających się wypadków polityki światowej, doprowadził do stanu wrzenia, którego krwawym epizodem był mord dokonany na Arlosoroffie.

Jakgdyby przez ironję losu, lewica, którą ten ostatni reprezentował, zdobyła decydującą przewagę na Kongresie, gdyż wraz z radykałami Grünbauma, bez zastrzeżeń popierającymi taktykę lewych, oraz z grupą A ogólnych, skłaniającą się ku lewicy—miała decydującą większość.

Śmierć Arlosoroffa, zabierając lewicy jej najlepszego przywódcę, wzburzyła ją do głębi. Jak wiemy, przybyła ona na Kongres z nastrojami wybitnie bojowemi. Ponieważ śledztwo do chwili zwołania Kongresu wykazało istnienie tajnej organizacji rewizjonistów, której członkami byli oskarżeni o mord, lewica żądała wybrania specjalnej komisji śledczej dla wyjaśnienia tej sprawy, oraz usunięcia całkowitego rewizjonistów z organizacji:

„Berl Katzenelson jest autorem wniosku o wybór komisji w sprawie zbadania tajnych organizacyj". („Chwila" nr. 5181).

Komisja taka została pod naciskiem lewicy wybrana, skład jej podaliśmy wyżej. Jest on bliższy Rewizjonistom niż lewicy. Łatwo jednak było przewidzieć, że komisja, która miała badać tajne organizacje, istniejące w łonie żydostwa, nie wykona swej pracy.

28 sierpnia komisja wydała wyrok salomonowy:

1. Na podstawie dokumentów, przedstawionych przez frakcję robotniczą, komisja doszła do wniosku, że w Palestynie jest czynna pewna grupa rewizjonistów, która środkami gwałtownemi dąży do wpłynięcia na zmianę politycznego kursu Org. Syjon.

2. Komisja śledcza nie dopatrzyła się żadnego (dosłownie żadnego!) związku między wspomnianą grupą a centralnemi organami partji Rewizjonistów („Chwila" Nr. 5186 str. 2).

Syjoniści ogólni grupy B, pomimo wrogiego stosunku do rewizjonizmu, bronią wyraźnie Rewizjonistów w ciężkiej potrzebie:

„Czyn jednego lub nawet kilkunastu ludzi powoduje rzucanie klątwy na całe stronnictwo rewizjonistów, liczące, jak pokazały wybory, kilkadziesiąt tysięcy zwolenników". „Jakim argumentem bronić się będziemy przeciw generalnym oskarżeniom naszych wrogów, skoro sami posługujemy się tą samą metodą". („Chwila" nr. 5187).

Po długiej walce wewnętrznej, Komitet Wykonawczy przedłożył Kongresowi następującą rezolucję, opartą na wnioskach komisji:

„Mający być na obecnym Kongresie wybrany Komitet Wykonawczy winien na pierwszem swem posiedzeniu powołać komisję śledczą, która w Palestynie przeprowadzi obszerne i gruntowne śledztwo. Komisja ta przedstawi rezultaty swych badań i swoje zlecenia Komitetowi Wykonawczemu, który Kongres wyposaży w pełnomocnictwa usunięcia organizacyj winnych lub odpowiedzialnych." („Chwila" nr. 5190).

Adolf Rotfeld pisał o kulisach tej sprawy:

„Prezydjum ciągle jeszcze radzi nad tem, w jaki sposób sprawę organizacji terrorystycznej w Palestynie przeprowadzić gładko przez plenum kongresu. Swoim zwyczajem, Motzkin, ogłaszając, że dyskusji nad rezolucją nie będzie, chciał tę rzecz przemycić, mrucząc pod nosem, że o ile niema sprzeciwu, uważa tę rzecz za przyjętą". („Chwila" nr. 5191).

Postanowiono rzecz całą spławić. Prezydent Motzkin oświadczył:

„że nie będzie dopuszczona żadna dyskusja nad rezolucją. W dramatycznem głosowaniu wniosek o otwarcie dyskusji odrzucono". („Chwila" nr. 5190).

Na żądanie ogłoszenia materjałów w tej sprawie:

„Prezydent Motzkin złożył sensacyjne oświadczenie, że komisja śledcza nie przedłożyła materjałów nawet Komitetowi Wykonawczemu, tem mniej zatem je można przedłożyć Kongresowi". („Chwila" nr. 5191).

Tuszowanie sprawy odbyło się zatem na całej linji. Zwekslowano ją na mający dopiero być wybranym, nowy Komitet Wykonawczy.

A Rewizjoniści? Zachowali filozoficzny spokój; Żabotyński przemawiał wogóle raz jeden.

„Onegdaj Berl Locker (lewica) wygłosił namiętne, najeżone ostrzami przemówienie przeciw rewizjonistom. Atakowani ani drgnęli. Bez jednego słowa wstali i w środku przemówienia opuścili salę". („Chwila" nr. 5191).

Tuszowanie sprawy tak bolesnej dla lewicy wywoływało ostre incydenty. Bograczow, og. syjonista mówił:

„Chcecie panować — zwraca się do lewicy, lecz nie chcą wam oddać rządów, i dlatego chcecie łamać Organiz. Syjonistyczną! Głos Rubanowa (lewica) z miejsca: Od kiedy liczymy nienawiść? Czy od śmierci Arlosoroffa?!" („Chwila" nr. 5188).

Te dwa okrzyki najlepiej ilustrują sytuację. Lewicy zamordowano przywódcę, by powstrzymać ją w dążeniu do opanowania Organ. Syjon.

Prawica zato triumfuje: poseł Rotenstreich (Ogólni, gr. B) mówi:

„Jeżeli się mówi o zwycięstwie lewicy, a klęsce innych grup, to boję się, że raczej zwycięzcy stanęli przed klęską, nie mają przedewszystkiem tych sił, tych mężów stanu i tego typu kierowników resortów, którzy są w stanie poprowadzić szeroką pracę". („Chwila" nr. 5199).

Istotnie. Zwycięskiej lewicy zabrakło jej przywódcy, męża stanu, kierownika resortu (departament polityczny Ag. Żyd.!), zdolnego poprowadzić szeroką pracę. Ogólni mają już łatwiejsze zadanie.

Skoro zaś został wybrany nowy Komitet Wykonawczy, uchwalił on na pierwszem posiedzeniu:

„Po długiej dyskusji A. C. powołał komisję w składzie 6-cio osobowym, która prowadzić ma pracę ściśle poufną, zgodnie z wytycznemi, opracowanemi przez Komisję Polityczną kongresu". („Chwila" nr. 5195).

Termin udania się Komisji do Palestyny uzależniono od zdania samej Komisji. Wszystko tajnie, poufnie i bez terminu.

Moralne skutki mordu dla Organ. Syjon. były fatalne. Pogłębiły one antagonizm między żydostwem wschodniem a władzami Izraela, zwiększyły i tak ostry kryzys organizacyjny:

„Nad całym przebiegiem kongresu ciężyła, niby ciężka zmora, sprawa morderstwa, popełnionego na bł.p. Arlosoroffie" („Chwila" nr. 5192). „Sprawa ta zajęła kongresowi 2 pełne tygodnie" („Chwila" nr. 5194); „Zaciężyło nad kongresem fatalnie, że... silna frakcja robotnicza była zdania, że jej przywódca został zamordowany przez Syjonistę". („Chwila" nr. 5199).

*

Układy, zawarte pomiędzy żydostwem wchodniem a rządem Hitlera, miały do czasu pozostać w tajemnicy. Za pakty te ukarano Arlosoroffa śmiercią, lecz sam fakt istnienia zawartych umów przedostał się na szersze *forum* już podczas obrad Kongresu. 24 sierpnia dr. Ruppin złożył na kongresie „sensacyjne oświadczenie", iż został zawarty układ z rządem niemieckim. Wywołało to niesłychane zdumienie i oburzenie delegatów, którzy nic o tem jeszcze nie wiedzieli, oraz zdumienie społeczeństwa żydowskiego, karmionego hasłami bojkotowemi. Niebawem okazało się, że układów Arlosoroff zawarł dwa: transferowy i kompensacyjny.

O układy rozgorzała namiętna walka między żydami Zachodu, którzy je nazywali zdradą wobec śmiertelnego wroga — a lewicą żydowską, która je zawarła, lecz bynajmniej chwalić się tem nie chciała. Dla obu stron najwygodniejsze byłoby tuszowanie, lecz opinja domagała się wyjaśnień — kto zawarł umowę?

Władze Organ. Syjon. ogłosiły że:

„Układ zawarty został między rządem niemieckim z jednej strony a centralnem ciałem żydowskiem z drugiej". („Chwila" nr. 5182).

Zawarło je więc zagadkowe „ciało centralne." Przeciwnicy lewicy, rewizjoniści — zaatakowali je gwałtownie, nazywając to zdradą narodu żydowskiego. Urzędowo ujawniono wówczas, że „ciało" reprezentowane było przez Angielsko - Palestyński Bank, który był „pośrednikiem". Meir Grossman, rewizjonista, żądał wyjaśnienia na *plenum*, „czy Anglo-Palestyński Bank znajduje się pod kontrolą Ezekutywy, czy też nie?" („Chwila" Nr. 5188).

Berl Locker (lewica) w imieniu Egzekutywy oświadczył:

„Układ nie został zawarty ani w imieniu, ani z polecenia Egzekutywy Syjonistycznej. Dalsze szczegóły tej sprawy Egzekutywa zakomunikuje na posiedzeniu Komisji Politycznej" („Chwila" nr. 5188). „Wkońcu osiągnięto porozumienie, że Egzekutywa udzieli szczegółowej odpowiedzi na posiedz. kom. polit., zaś prezydjum Kongresu postanowi, czy sprawa ta ma być omawiana na plenum". (Tamże).

Pod naciskiem opinji wołającej o zdradzie:

„Egzekutywa podkreśla z całym naciskiem, że niema nic wspólnego z tym układem, który jest jedynie umową prywatną". („Chwila" nr. 5188).

Niema już zatem „centralnego ciała", jest układ prywatny, jednak nie wolno o tem mówić na *plenum*, czego się wciąż domaga rewizjonista M. Grossman. Tymczasem ustalono, że w imieniu Anglo-Palestyńskiego Banku występował jego dyrektor Hoofies. Jednocześnie podkreślono, że Bank ten podporządkowany jest Egzekutywie.

„Angielski Urząd Kolonjalny oświadcza, że nic tam nie jest wiadomem o rokowaniach, które miałyby być prowadzone przez rząd Palestyński lub przedstawicieli brytyjskich w jego imieniu". (Chwila" nr. 5189).

Zatem władze mandatowe układów nie zawarły.

„Organizacja Syjonistyczna w Londynie oraz przedstawiciele Egzekutywy (londyńskiej) na zapytanie Żat'nej odpowiedzieli, że nic nie wiedzą o powyższym układzie". („Chwila" nr. 5189).

Była to oficjalna odpowiedź żydów zachodnich.

(C. d. n.) ADAM JAKUBOWSKI

PIRANDELLOWSKA KONCEPCJA CZŁOWIEKA

I

GDY jeden z krytyków[1]) poprosił Pirandella o skreślenie kilku not biograficznych, Pirandello wyznał, że ta prośba wprawiła go w niemałe zakłopotanie dlatego, że, oddany całkowicie sztuce, nie „żyje swego życia", lecz je „pisze"[2]).

Potrzeba twórczości artystycznej jest więc dla Pirandella nie potrzebą igraszki umysłowej (jak dla wielu pisarzy, niestety) lub środkiem dla zdobycia majątku[3]) (bo i tak nieraz bywa!), lecz najgłębszą potrzebą duszy i serca, absorbującą go całkowicie. Oddany całkowicie swej sztuce, „zapomniałem żyć", przyznaje się w jednym ze swych listów.

Pirandello jest więc typem twórcy z Bożej łaski, oddanego swej sztuce całą duszą i sercem, zaś appolinowy niepokój twórczy[4]), krystalizujący się w setkach postaci, ilustrujących jaknajwszechstronniej całą zawikłaną problematykę życia współczesnego, jest jego kategorycznym imperatywem[5]).

Jakie jest więc jego *credo* artystyczne, jakie są jego poglądy na zadania i przedmiot sztuki?

Świadomy swego artystycznego powołania, Pirandello żywi głęboką pogardę dla pisarzy, których nazywa „historykami", a którzy piszą jedynie gwoli zadośćuczynienia potrzebie opowiadania[6]).

Pisarz naprawdę godny tego miana, pisarz-filozof, jak go nazywa Pirandello[7]), uznaje obraz (wyobrażenie) wtedy dopiero, jeśli ma on „pewne znaczenie", które nadaje mu pewną wartość, nie przedstawia on osób, czy zdarzeń dla samej tylko przyjemności ich przedstawienia, „chociaż byłyby one najbardziej charakterystyczne w swoim rodzaju", lecz tylko wtedy, jeśli są obdarzone „pewnem szczególnem, jeśli się tak wyrazić można, uczuciem życia, któreby im nadało wartość powszechną"[8]).

Artysta prawdziwy musi więc dokonać wyboru wśród narzuconych mu przez wyobraźnię obrazów, musi odrzucić jedne, a dać formę drugim[9]). Jego funkcja jest raczej funkcją kształtującego surową materję Demiurga, niż fantazjującem opowiadaniem. Nie wolno mu poddać się pod żadnym pozorem grze wyobrażeń, którym ma nadać pewną formę.

Z drugiej strony Pirandello nie uznaje sztuki symbolicznej, gdyż w tem ujęciu obraz (przedstawienie) traci całe swe życie, redukując się do mechanicznej alegorji. Obraz winien pozostać „żywy i wolny we wszystkich ekspresjach"[10]).

Oto koncepcja sztuki, która, szukając w każdej postaci, czy w każdem zdarzeniu, pewnej wartości powszechnej z jednej strony, a wystrzegając się taniego i bezwartościowego często symbolizowania z drugiej, stawia prawdę życia za *conditio sine qua non* ekspresji artystycznej.

Szukając ogólno-ludzkich wartości, artysta nie może jednak tracić z przed oczu prawdy życiowej. Ba! winien starać się na wszelki sposób tę prawdę pogłębić, rozpatrując każdy fakt z wielu punktów widzenia, mając wciąż na oczach wielo-

---

1) Benjamin Crémieux.

2) Por. Luigi Pirandello: „*Vieille Sicile*" (*ed.* Gallimard) str. 3. Analogicznie stary literat Ludwik Nota (z „Nagich Przyodziać") zauważa, że są dwa sposoby przejścia przez życie: „przeżyć" je lub „pisać" (na początku I-go aktu). Niema potrzeby udowodniać, że jest to opinja samego Pirandella, który w związku z prośbą Crémieux zauważa: „być może (moi bohaterowie) mogliby dać pewne informacje o mnie" *(Ibid).*

3) Przez kilka lat młody Pirandello pisywał darmo do pism ku wielkiemu zgorszeniu swego ojca Stefana, nawskroś praktycznego właściciela pokładów siarki.

4) Czerpiąc inspirację z „Narodzin Tragedji" Nietzsche'go (najgłębszej bodaj metafizyki estetyki) dzielę twórców (w większym jeszcze stopniu, niż same sztuki, gdyż w każdej z nich oba te elementy mogą być w różnych proporcjach zmieszane) na apollinowych i dyonizyjskich. Podział ten uważam za bardziej przejrzysty od przyjętego powszechnie (zwłaszcza w gimnazjalnych podręcznikach) podziału na klasyków i romantyków, gdyż, jak to słusznie podkreślił w swym odczytanym referacie na uroczystem posiedzeniu Akademji Literatury K. H. Rostworowski, każdy klasycyzm wydaje się w pierwszej swej fazie burzycielskim romantyzmem, nim zastygnie i zakrzepnie w formach, które potomność ochrzci potem nazwą klasycznych. Tymczasem sztuka apollinowa nigdy nie stanie się dyonizyjską, a sztuka dyonizyjska — apollinową.

5) Ten niepokój twórczy krystalizuje się zresztą nietylko w dramatach, powieściach i nowelach tego nawskroś apollinowego artysty. Jest Pirandello również autorem interesujących szkiców („*Arte e Scienza*", Rzym 190S) i podstawowego dla poznania jego światopoglądu dzieła „*L'Umorismo*" (Florencja 1920). Jego koncepcja humoru, ściśle związana z ogólną koncepcją życ'a i przeznaczenia człowieka (której *leit*motywem jest tragiczna walka życia i formy) przy całej swej oryginalności, posiada liczne punkty styczne z koncepcją Bergsona (wyłożoną w kapitalnem „*Le Rire*") i radykalnie subjektywistyczną koncepcją Proust'a. Porównanie „*L'Umorismo*" z „*Le Rire*" mogłoby być przedmiotrm bardzo interesującego i ciekawego studjum.

6) Por: Jak i dlaczego napisałem „Sześć Postaci".

7) Ten podział pisarzy na „historyków" i „filozofów" jest niezmiernie charakterystyczny dla estetyki Pirandella.

8) *Ibid.*

9) W noweli „Tragedja Jednej Postaci" (którą uważać można za pierwszy zarys „Sześciu Postaci w Poszukiwaniu Autora") występuje autor, który co niedziela udziela posłuchania swym bohaterom i, wysłychawszy ich opowiadań, decyduje o ich przyjęciu do świata sztuki lub nie.

Oczywiście, iż ten udzielający swym postaciom posłuchania autor symbolizuje konstruktywną rolę umysłu nad dostarczonym przez wyobraźnię materjałem. Jakże więc dalekimi od prawdy są ci, co z Pirandella chcą uczynić (nie bez pewnej podstawy zresztą) wyznawcę witalizmu Nietzsche'go czy Guyau!

10) Jak napisałem „Sześć Postaci".

stronność prawdy i wielostronność osobowości ludzkiej[11]).

Tę koncepcję sztuki Pirandello ochrzcił mianem humoryzmu[12]), którego to terminu nie należy oczywiście mieszać z przysłowiową lekkością i wesołością francuską.

Humoryzm, mówi Pirandello, to jakby Hermes, którego jedna twarz śmieje się z płaczu drugiej twarzy[13]). „Artysta zwykły zwraca uwagę jedynie na ciało, humorysta i na ciało i na cień jego; niekiedy więcej na cień, niż na samo ciało; zwraca on uwagę na wszystkie modulacje tego cienia, jak on albo się wydłuża, albo się skraca, jakgdyby przekomarzał się z ciałem, które w tym czasie nie zdaje sobie z tego sprawy i nie zwraca uwagi"[14]). Artysta humorystyczny stara się więc rzucić nieco światła na tę nieustanną komedję, jaką gra wobec siebie i wobec otoczenia każdy człowiek od urodzenia aż do śmierci, stara się uwypuklić tę cząstkę komedji, jaka leży na dnie każdej ludzkiej tragedji, tę cząstkę tragedji, która tkwi pod pozornie wesołą pokrywą każdej komedji.

Widzimy więc, że centralny problem największych arcydzieł świata, od eschylowego Prometeusza począwszy — problem człowieka — wybija się na pierwszy plan w literackim dorobku autora „Sześciu Postaci", będąc *leit*-motywem jego, wyłożonego w *„L'umorismo"* światopoglądu i stanowiąc przedmiot prawie wszystkich jego powieści, nowel i dramatów.

Oczywiście problem ten musiał u wielkiego artysty XX-go wieku przybrać pewną specyficzną i sobie tylko właściwą formę. Gdy wielcy tragicy greccy[15]), a w pewnym stopniu także Corneille i Racine stawiali ten problem na płaszczyźnie, że się tak wyrażę, religijnej, upatrując istotę człowieczeństwa w heroizmie, poświęceniu się dla drugich i platońskiem upodobnianiu się do Boskiego pra-wzoru, gdy bardziej już przeniknięci bólem życia romantycy stawiali ten problem na płaszczyźnie metafizycznej, dochodząc zresztą do rozwiązań bardzo różnych[16]), to u współczesnego Bergsonowi, Proust'owi i Freudowi pisarza włoskiego problem ten musiał zostać postawiony na płaszczyźnie psychologicznej[17]).

[11]) Czynię tu aluzję do pirandellowskiej teorji względności (raczej wielostroności) prawdy i wielostronności ludzkiej osobowości, o czem bliżej w dalszym ciągu artykułu.

[12]) Wyłożył ją we wspomnianem już dziele *„L'Umorismo"* (Florencja, 1920).

[13]) *Ibid.*

[14]) *Ibid.*

[15]) Z wyjątkiem Eurypidesa, tego nawskroś nowoczesnego malarza tragicznych splotów i powiązań ludzkich przeznaczeń. Przez swój jaskrawy realizm, przez swój zupełnie nie antyczny niepokój, przez ból życia, targający trzewia jego bohaterów o ileż bliższy jest on nam — dzieciom XX-go wieku, niż swym bezpośrednim poprzednikom — Eschylosowi i Sofoklesowi! Nic dziwnego więc, że współcześni nie mogli go zrozumieć i ocenić należycie.

[16]) Od optymistycznego rozwiązania naszych wielkich romantyków (które najpiękniejszy swój wyraz znalazło w „Irydjonie" Krasińskiego) do pesymistycznego rozwiązania Byrona (w „Kainie"), że ograniczę się na tych dwu tylko przykładach.

[17]) Największy ze współczesnych dramaturgów polskich, K. H. Rostworowski, którego cała twórczość jest dramatyczną ilustracją jego nawskroś chrześcijańskiej koncepcji życia, odbył również ciekawą ewolucję od symbolicznego alegoryzmu do najjaskrawszego naturalizmu (formy właściwej drugiej połowie XIX-go wieku), który przecież tak jest przepojony najwznioślejszym chrześcijańskim idealizmem.

Zwracając w swych powieściach i dramatach nacisk na wielkie skomplikowanie rzeczywistości ludzkiej, ukazując nam rozszczepienie i wielostronność jaźni[18]), sięgając aż do samych podświadomych podstaw osobowości, Pirandello zapuścił, obok Proust'a, skalpel artysty w dziedziny, gdzie dotychczas zagłębiało się tylko oko psychologa i psychjatry[19]).

Czy więc Pirandella należy zaliczyć do szkoły Proust'a?

Otóż, antycypując to, co powiem, można rzec, że to zbliżenie jest tylko pozorne, nieistotne. Gdy u Proust'a pod nawarstwieniem płaszczyzn psychologicznych niema nic więcej, u Pirandella pod tą psychologiczną pokrywą ukrywa się coś więcej. Dziecku starej filozoficznej rasy[20]), dalekiemu potomkowi Pytagorasa i Empedoklesa, nie może wystarczyć freudowski mechanizm „cenzury", „wtłoczeń" i „symbolicznych realizacyj". Ten z natury samej (a nie tylko z wykształcenia) filozoficzny umysł[21]) nie mógłby się nigdy zadowolić mechanizmami psychologicznych tłumaczeń, które, nie wychodząc bądź co bądź poza ciasny krąg doświadczenia, nie mogłyby zadowolić jego greckiej, metafizycznej ciekawości.

Szukając arystotelesowskiego *to ti eotiv* tych ciągłych przemian psychiki ludzkiej, dochodzi do tragicznego, przez Przeznaczenie nam narzuconego antagonizmu formy i życia, jako do pierwszej przyczyny wszelkich konfliktów, walki i załamań się życiowych[22]).

Czyniąc wszakże z tego tragicznego, przez Przeznaczenie nam narzuconego antagonizmu formy i życia, punkt centralny swej koncepcji człowieka, Pirandello, ześlizgnął się — być może, nie zdając sobie nawet z tego sprawy — z punktu widzenia psychologicznego. U podstaw jego psychologicznej koncepcji człowieka leżała więc metafizyczna wizja antagonizmu życia i formy[23]).

A ponieważ ten antagonizm formy i życia byłby pozbawiony „sensu" i niejako zawieszony w próżni, jeśliby się nie opierał o coś transcendentnego, trzeba więc odnieść go do jakiegoś sy-

[18]) Najplastyczniej w wydanej w roku 1925-ym powieści: *„Uno, nessuno e centomila"*.

[19]) U podstawy tych analiz leżą epokowe prace wielkiego psychologa i psychjatry francuskiego Piotra Janeta (syna znanego filozofa Pawła Janeta) — *„L'Automatisme Psychologique"* (Paryż 1889), *„Névroses et Idées Fixes"* (2 grube tomy — Paryż 1898), *„Les Obsessions et la Psychasténe"* (2 grube tomy — Paryż 1903), *„L'Etat Mental des Hystériques"* (Paryż 1892). Te z gallijską iście jasnością, dokładnością i sumiennością napisane prace (jak również prace znanego psychjatry szwajcarskiego Bleulera) posłużyły za punt wyjścia dla fantastycznych teoryj Freuda, mających wedle słów prof. Delacroix (profesor psychologji Sorbony) więcej wspólnego z mitologją, niż ze ścisłą nauką.

Dlaczego wszakże o Freudzie wszędzie u nas głośno, a o Janecie, czy Bleulerze poza grupą specjalistów nikt nie wie? Czytelnik niech postara się sam odpowiedzieć na to pytanie.

[20]) Jako sycylijczyk (ur. w Agrygencie w 1867 r.) Pirandello jest dalekim potomkiem tych dawnych sycylijskich Greków, z których pochodzili: Pytagoras (urodzony prawdopodobnie na Samos, lecz działający i nauczający na Sycylji) i Empedokles (urodzony, jak i Pirandello, w Agrygencie).

[21]) Przecież nazywa się sam pisarzem-filozofem, co już mieliśmy sposobność podkreślić.

[22]) W drugiej części mego artykułu (która ukaże się w następnym n-rze „Myśli Nar.") omówimy bliżej ten antagonizm.

[23]) Jak wizja antagonizmu formy i materji (potencjalności) leży u podstawy systematu filozoficznego Arystotelesa.

stemu transcendentnego, by dać mu podstawę w bycie. Crémieux myli się więc, uważając immanentyzm za charakterystyczną cechę pirandellowskiego światopoglądu. Mimo pewne pozory, immanentyzm ten jest tylko pozorny, postulując pewną transcendentną prawdę, jako swe metafizyczne, ontologiczne uzasadnienie. Pirandellowska koncepcja względności prawdy ma swoją podstawę w metafizycznej, absolutnej prawdzie antagonizmu życia i formy. Przez to cały relatywizm Pirandella może mieć tylko zjawiskowe, fenomenalistyczne znaczenie, w głębi swego ducha Pirandello jest takim samym namiętnym poszukiwaczem prawdy, jak św. Augustyn, Descartes, czy Dostojewski[24]).

I powiedziałbym, że jeśli z kim można zestawić tego tak nawskroś oryginalnego i samorodnego pisarza[25]), to już raczej z Dostojewskim, niż z Proust'em. To samo bolesne doświadczenie osobiste[26]), ten sam ból istnienia, to samo poczucie tragiczności naszego przeznaczenia, ta sama wreszcie dualistyczna koncepcja życia[27]).

Przez tę oryginalność i samorodność swego talentu, przez tę jaknajwszechstronniejszą tematykę i problematykę swych dramatów i powieści, przez to nowe ustosunkowanie się do życia i jego zadań, Pirandello zasługuje, by wejść do areopagu największych twórców ludzkości, obok Eschylosów, Eurypidesów, Szekspirów, Corneille'ów i Dostojewskich.

STANISŁAW CZAJKOWSKI

[24]) Bardzo mi przyjemnie, że w tych mych wywodach pozostaję w zgodzie z p. Fil., który wyczuł „względność" relatywizmu pirandellowskiego, pod jakim dostrzegł namiętne dążenie do absolutnej prawdy (por. „Gaz. Warsz." z 30-go grudnia 1934 r.).

[25]) Sam Pirandello zaprzecza kategorycznie, by podlegał jakimkolwiekbądź wpływom: „sądzę... że nikomu nic nie zawdzięczam" — pisze w jednym z listów.

[26]) Młodość Pirandella jest wypełniona przez ciągłe zatargi z ojcem, który chciał skierować syna na drogę wykształcenia handlowego, a dalsze lata przez tragiczne pożycie małżeńskie z narzuconą mu przez ojca na żonę chorą umysłowo kobietą, która życie domowe wielkiego pisarza potrafiła zamienić na prawdziwe piekło, nim wreszcie została umieszczona w domu obłąkanych. Tem długoletniem pożyciem pod jednym dachem z chorą umysłowo kobietą można wytłumaczyć dziwne, nieraz niesamowite tematy Pirandella, jego lubowanie się w analizach rzadkich stanów psychologicznych, czy wręcz patologicznych. Nie lektura więc Freuda obudziła w nim zamiłowanie do psychjatrycznych tematów, jak to niektórzy pomyśleć gotowi, lecz tragiczne doświadczenie własnego, złamanego życia.

Tragiczne dzieje żywota autora „Biesów" są dość wszystkim znane, byśmy tu mieli potrzebę je przypominać.

[27]) Lubo przyznać trzeba, że ten dualizm Pirandella (formy życia), ma nie tyle charakter moralny (jak tragiczna walka Boga - Dobra ze Złem - Szatanem u Dostojewskiego), ile przedewszystkiem ontologiczny.

W związku z Dostojewskim chciałbym tu zwrócić uwagę na niezmiernie ciekawą, dla nas Polaków zwłaszcza, książkę prof. uniw. Stefana Batorego w Wilnie Bogumiła Jasinowskiego: „Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja" (Wilno 1933), która, chociaż przez uniwersytet wydana została dla szerszego ogółu, pozostała niezauważona przez krytyków, poza świetnem polemicznem sprawozdaniem prof. Zdziechowskiego p. t. „Problem religijny w Rosji" („Przegląd Filozoficzny", zeszyt II, z 1934-go roku).

WIZJA TOMASZA MINORA

Władysławowi i Aleksandrowi M.

I

DOKTÓR obojga praw, Tomasz Minor pisał traktat przeciwko Husytom.

Kiedy legat papieski wiosny ubiegłej przejeżdżał przez Flandrję, kierując się stąd na sobór, prosił Minora, ażeby mu pomógł rozpędem swojego pióra i zasobem swojej wiedzy w pognębieniu lub przekonaniu obałamuconych. Minor obiecał legatowi i od tej chwili, zamknięty w pracowni swojej przy *place du Beffroi,* schylony nad kodeksami Ojców, nad komentarzami Doktorów, nad Pismem Świętem, w pocie czoła, wysiłku mózgu, tworzył dzieło, co miało być orężem dla prawowiernych.

Przez okna zaś i szyby jego pracowni wdzierało się co chwila do jego świadomości życie, trącało o struny jego serca, mąciło napięcie jego ducha. Niosło ze sobą odgłosy długotrwałych wojen, co zakrwawiały wtedy Francję oraz Anglję; z powiewem wiosny mieszało tchnienie śmierci, która pokotem czarnej zarazy ścinała głów setki; w obliczu zimy napawało znowu lękiem o wyżywienie, zwłaszcza, że nieopatrzny władca tej krainy, dbały wyłącznie o rozkosze cielesne, oddał był komorę książęcą w pacht długoletni żarłocznym lichwiarzom, co wykupili zboże i bydło. ażeby zbywać je później po niegodziwych cenach,

Troska zatem i nędza zaglądały i do pracowni uczonego doktora. Nad myślą jego czuwał jednak anioł opiekuńczy w postaci żony, uroczej Ewy, córy wzgórz wallońskich. Ona, kiedy Minor ustawał w pracy, krzepiła go pieszczotą swojej dłoni; z zaparciem zdrowia własnego usuwała z przed stóp jego wszelkie możliwe przeszkody; mówiła mu o wierze, kiedy wątpił, o nadziei, gdy słabnął, a cała była miłością: miłością ziemską, która utożsamia się z przedmiotem kochania i — nadziemską, co w zaświatach szuka wsparcia dla doczesności.

II

Ale pod koniec owej jesieni psuć się poczęło na dobre zdrowie pięknej Ewy. Niedomaganie jej, niewyraźne zrazu, przerodziło się niebawem w ciężką chorobę. Siły ją opadły, czucie ją opuściło, świat cały przestał jakby zajmować — jedno jej tylko pozostało: modlitwa. Leżała na tapczanie, wdzięczna zawsze jak marzenie, ale blada jak chusta, a wargi jej, z których krew zbiegła, szeptały, kurczowo nieraz, jakby od ukrytego zasłaniała się nieprzyjaciela: „Pod Twoją obronę..."

I przyszedł dzień najsmutniejszy w życiu doktora Tomasza, kiedy w dom jego weszło czterech ponurych, czarno ubranych mężczyzn, czterech członków bractwa św. Łazarza i wyniosło na noszach to, co miał najdroższego na ziemi, do pobliskiego *hospicium.*

III

I siedział teraz doktór w swojej pracowni, a na dworze śnieżny był dzień Bożego Narodzenia, pierwsze święta w samotności przezeń spędzane i udręce. Ciężyły mu jego księgi, a chociaż kończył już swój traktat, ciężyła mu i cała jego mądrość, pełna jeszcze wiary, ale nie rozświetlana promieniami nadziei i miłości.

Zwinął więc swoje rękopisy, zamknął naczynie z inkaustem i odłożył pióro. Potem zaś, krokiem zmęczonym i niepewnym, jak wędrowiec, który zmylił drogę, wyszedł z domu i skierował się w stronę katedry.

Stała na placu tuż niemal obok jego siedziby. Potężna jej wieża czuwała nad miastem niby strażnica, a ze smukłego jej szczytu krzyż złoty błogosławił mieszkańcom tego miasta, znojącym się w zabiegach o chleb codzienny w obrębie pysznych, leżących opodal sukiennic i rozgrzeszał ich czyny i żądze, a koił cierpienia tych, co w pobliskiem *hospicium*, jak Ewa, czekali wybawienia lub śmierci.

Doktór Tomasz zatrzymał się na chwilę, chociaż mu w plecy dął przykry wiatr od morza, przed portalem katedry, zdobnym w misterne rzeźby. Przykuły uwagę jego, po raz nie wiadomo już który, figury umieszczone zwłaszcza w lewej kondygnacji bramy, a wyobrażające orszak ludzkich grzechów, siedem postaci, pełnych każda odmienego, wyrazu.

Potem zaś schronił się Minor do wnętrza kościelnego, gdzie było zacisznie i swojo, gdzie jedna tylko lampa paliła się przed Najświętszym Sakramentem, gdzie mógł też najlepiej przepędzić ten gorzki dla siebie wieczór i z rozdartem sercem rozmyślać o tajemnicy betleemskiej.

Usiadł przeto w stalach, tuż przed wielkim ołtarzem mistrza Sebalda i wpatrzył się w malowidło, które było chlubą rodzinnego jego miasta. Choć już w świątyni panował półmrok, pełne życia barwy oddawały dobitnie grozę Sądu Ostatecznego. Wysoko, w chmurach, widniał na tronie Bóg-Ojciec, dzierżący w ręku berło, z którego łacno posypać się mogły pioruny; niżej, po Jego prawicy, stała w odblaskach chwały Bogarodzica, wyciągająca ku górze proszalne dłonie, jako orędowniczka i matka. W kącie zaś, na lewo, czaił się szatan, takisam jak na rzeźbach tegoczesnych: okropny smok, wąż drapieżności pełen i podstępu, wróg najczujniejszy, czyhający na upatrzoną zwierzynę.

IV

Tomasz, przyglądając się arcydziełu Sebalda, stracił rachubę czasu i świadomość własnego bytu. Obraz w ołtarzu zasnuwał mu się mgłą przedziwną i nakoniec, w refleksjach żarzącej się lampy, dwie tylko pozostały na nim postacie: wysoko, w szczycie, majestat Boży sędziego i stwórcy; nisko, na dole — wyprężony do skoku, trwający w zasadzce szatan.

I słyszał doktór wewnętrznem jakiemś echem djalog, jaki się rozpoczął pomiędzy Panem a Buntownikiem:

— Wydaj mi, Panie, — przymawiał się Lucyfer — na próbę sługę Twojego, Tomasza Minora. Niechaj umartwię jego ciało, niechaj pozbawię prężności jego ducha, a zobaczymy, czy pozostanie Ci wierny...

— Nie, przenigdy — rozbrzmiał w katedrze głos tak potężny, że aż zatrzęsły się jej mury, a płomień latarni dygotał, jakby wicher z nad diuny wdarł się był w podwoje kościoła. — Nie, przenigdy, Tomasz jest mi potrzebny. Zakazuję ci, nędzniku, tykać go żądłem twojem zatrutem.

Chwila milczenia i znowu ozwał się szatan:

— A jednak, Panie, pragnę wypróbować Twojego sługę. Jeżeli zaś i nadal chronić go zechcesz Swoim płaszczem, to ja narazie żądło moje zwrócę gdzieindziej. Od zarania dziejów ludzkich wiem, dokąd w potrzebie się kierować; wszak przez kobietę wszczęło się panowanie moje nad światem i kobiecie także przeciwstawiać się pragnę, czy ona Marją, wysoko w chmurach, opodal Twojego tronu, czy skromną Ewą, małżonką sługi Twojego, Tomasza.

— Wiem, żeś się nie pytał, — zabrzmiał ponownie głos gromowy — kiedyś zakażał żądłem twojem ciało tej niewiasty. Ale bacz jeno, żeby nie stracone były twoje zachody! Tomasz wszak czuwa w pracy swojej i wysiłku, a sama nawet ofiara, ofiara twojej złości, błaga mnie zbielałemi wargami o zadośćuczynienie i litość. Mamże ich jej poskąpić?

I w tej chwili zajaśniało berło Przedwiecznego oślepiającą łuną, a wskroś przestworów katedry runął grom.

Grom ten nie ocucił doktora. Owszem, Minor popadł w oszołomienie jeszcze głębsze, w bezwład zupełny.

Zwolna przecie na miejscu wielkiego ołtarza wykwitać dlań poczęła nowa wizja.

Tam, gdzie Sebald był niegdyś wyobraził dolinę Jozafata, ujrzał teraz Tomasz oczyma duszy nizinę flandryjską, tęsamą, co z pod okien jego pracowni schodziła ku wydmom nadmorskim. W centrum tryptyku, gdzie niegdyś stał tron Przedwiecznego, widniało teraz własne jego domostwo, niby ośrodek jakiegoś mikrokosmu. Z dwóch zaś stron tej jego siedziby, z prawa i lewa, wstawał we mgle zrazu, potem zaś w uwyraźnionych konturach, hufiec znanych mu częściowo postaci.

V

Na lewo od pracowni jego szeregowały się bowiem jakieś wojska, ustawiały się poszczególne oddziały. Siedem ich było, a na czele każdego z nich stawał rycerz zakuty w zbroję i z zapuszczoną przyłbicą. Ale, kiedy rozstawiły się już te zastępy, a wodzowie podstąpili bliżej, ażeby odbyć naradę, wtedy, z pod podniesionych przyłbic, ujawniły się Tomaszowi znajome mu dobrze twarze.

Toż to był ten sam rycerz Attyla, co na portalu katedry wyobrażał Pychę, o twarzy zimnej, zadufanej w sobie, nieubłaganej i — krewniak jego, baron Habebald, łakomy zbieracz skarbów, a ciemiężyciel słabych i — ten o obleśnem, kuszącem spojrzeniu, widny na portalu na tle rajskiego ogrodu — ni to mężczyzna, ni kobieta — z plemienia Maji. Obok zaś lubieżnika skradał się zawistnik, mąż żądny władzy i przewag, po trupach do nich stąpać gotowy, a — dalej — stary pijanica Trunkelieb i — bezbożnik Laster i — okrutnik Blutedurst.

Siedmiu tych wodzów stanęło rzędem po lewicy i otrąbiło hasło. W tej chwili, z prawa, z mgły wyłaniać się poczęły inne postaci. A w miarę, jak się uwyraźniały, zadziwiło Tomasza, zaskoczonego już wprzódy zjawą własnego domostwa, że w szranki wstępują teraz niektórzy, zmarli a bliscy jego znajomi. Byli to ludzie z jego gliny, ułomni, słabi, ale dobrej woli; pełni zwątpień, nędz i namiętności, ale w gruncie zacni, szlachetnych niepozbawieni instynktów. Oto ławnik Müntzer, pochowany właśnie rok temu na cmentarzu Niewiniątek, o którym wiedział Tomasz, że, wracając w mroźną noc do domu z wesołej biesiady, okrył płaszczem własnym drżącego z zimna nędzarza. A tu znowu krawiec Nadel, co, choć miał tyle bliższych obowiązków na głowie, nie wahał się przygarnąć sierot zmarłego przedwcześnie brata. A tu legista Rechtherz, tensam, co, wezwany przez hardego tyrana, aby wydał orzeczenie, sankcjonujące jego postępki, wolał iść na nędzę i poniewierkę, aniżeli służyć za narzędzie niegodziwym władcy zamiarom. I tylu, tylu innych!

Ta prawa armja zbiła się stopniowo w jedną kolumnę. Biła od niej jasność, przeciwstawiająca się wyraźnie zaszytej w ciemność armji lewej. Do starcia wszakże pomiędzy niemi narazie nie dochodziło. Oba wojska czekały na hasło bojowe.

Wtem z prawego skrzydła tryptyku nowa wynurzyła się postać w zbroi. Podobna była z kształtów i postawy pasterce, o której tak głośno było we Flandrji przed kilku laty, a której udało się sprowadzić króla Francji z powrotem na tron jego ojców. Takisam sztandar trzymała przecie w dłoni, a na nim krzyż wyszyty Jerozolimy wyzwolonej.

Ewa — bardziej uczuciem serca, niż ułudą wzroku poznał ją Tomasz — mocnym, zdrowym, dawnym swoim głosem rzuciła hasło:

— *Sub tuum praesidium*...

— *Confugimus, sancta Dei genitrix* — odebrzmiały prawe zastępy.

VI

Doktór Tomasz spał jeszcze. Ale nagle mu się wydało, że wizja na ołtarzu zanika i, że z tryptyku zstępuje ku niemu owa rycerzyca Boża. Dotknęła jego głowy i — o dziwo! — nie poczuł na niej zimna żelaznej rękawicy, ale miękką, ciepłą, dobrze sobie znaną, macierzyńską niemal pieszczotę najdroższej Ewy.

Zbudził go kurant, dzwoniący na wieży kolendę. Dziwnie pokrzepiony na duchu, skierował kroki ku drzwiom katedry. Na dworze wicher był ustał, śnieg prószył drobny, ale powietrze samoż było ukojone. Łagodne powiewy, odwilż niosące, zastąpiły w niem poszum nawałnicy. Pierwsze też gwiazdy iskrzyć się poczynały na niebie.

Wyszedł i spojrzał. W *hospicium*, tuż obok izby, gdzie chorzała Ewa, widniały jasno palące się światła. Z okien zwisały girlandy świeżo naciętej sośniny. A poprzez lekko zamarznięte szyby doszedł uszu doktora radosny śpiew. To dzieci — wiosna ludzkości — wielbiły inną wiosnę, Betleemską.

Tomasz wlepił wzrok w okno żony. Brzmiały mu w uszach strofki hymnu, który zapowiadał pokój ludziom dobrej woli. Huczało mu w mózgu echo tego gromu, którym Najwyższy groził zasadzkom Nieprzyjaciela. Pamięcią wyobraźni ogarniał bój siedmiu rycerzy Grzechu z jasnemi kolumnami Dobra. Z wesołej kolendy dziecięcej uśmiechała się doń już jakgdyby zapowiedź bliskiej wiosny. A na czole czuł jeszcze rękę tej, co, prowadząc go przez strome ścieżki życia ku mającemu być spełnionem posłannictwu, trudem, ofiarą, przekonaniem, przechylała szalę mistycznych zwycięstw.

WŁADYSŁAW NAŁĘCZ

LUDOWA BALLADA O WALDEMARASIE

A w tem więzieniu głębokiem,
a za temi kratami z żelaza
siedzi Waldemaras w ciemności,
żałośnie się uskarża:

„Czy na tom czasu tyle
zasiadał na Litwie w rządach,
ażeby mnie sądzili
takim jak innych sądem!

Czy na tom po cudzych krajach
za Litwą stawał murem,
ażeby mnie w ciemnicy
wszy jadły, żarły szczury.

Niewdzięczna jesteś, ziemio,
którąm za matkę obrał!
Prawdziwa z ciebie macocha,
nie matka, nie matka dobra..."

Latają wrony kraczące,
pióra o kratę trą,
mgły czarne o mur rozbite,
kropelkami na trawie mrą.

Mgły czarne loch otoczyły,
aż więzień dreszczem się wzdryga,
mara trupia w otworach okna
skrwawioną ręką miga.

Strach jeży włosy, otwiera
drętwe powieki przymusem:
do ciemnicy upiór zaziera
studenta Wassiljusa[1]).

Zwisło ramię, rozdarte w pościgu,
chrzęszczą żebra połamane przez katów,
i chyboce się i podryga
upiór przylepiony do kraty...

I chyboce się i pląsa i hasa
na strzaskanych, połamanych kościach,
i wzywa Waldemarasa
na Sąd Boży w czasie i wieczności.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

[1]) Student zamachowiec, schwytany i stracony — jak głoszą wieści — po strasznych torturach.

NA WIDOWNI

Rymy i Konstytucja. — Polskie zamiłowanie do konkretu. — Gdzie analogja w dziejach. — Czasy saskie rajem dla „państwowca". — Entuzjazm marszałka Zawiszy.

W TECE redakcyjnej posiadamy w tej chwili dwa artykuły, nadesłane z różnych stron, przez wybitnych pisarzy, na temat sporu, jaki wyniknął w sprawie wartości rymu i asonansu. Niewiadomo, czy na tem wyczerpie się dyskusja. W rozmowach z przyjaciółmi „Myśli Narodowej", w listach od czytelników, polemika między pp. Pieńkowskim i Grzegorczykiem raz po raz znajduje nowy oddźwięk — dowód żywego zainteresowania.

W kwestji przeprowadzanej w tym tygodniu zmiany Konstytucji nikt nie przysyła swych uwag, wymiana zdań jakoś się nie nawiązuje, publicyści— nawet oficjalni, „sanacyjni" — omawiają rzecz z coraz widoczniejszem, coraz gorzej ukrywanem znudzeniem. Gdzież przyczyna tej postawy psychicznej społeczeństwa?

Możnaby o tem zjawisku pisać różnie, dla mnie wszakże zdaje się ono świadczyć o tem, że umysłowość polska, z natury konkretna, daleka od spekulacyj oderwanych, chętniej się zajmie czemś nawet drugorzędnem, szczegółowem, jeśli stąd widzi możliwość skutków w jakiejkolwiek dziedzinie życia, aniżeli rozważaniami o sprawach najważniejszych — bez praktycznych konsekwencyj. Opinja o rymach, wypowiedziana w sposób przekonywający, może wpłynąć — w węższym albo szerszym zakresie — na ewolucję upodobań literackich, oddziaływać na formę poetyckich utworów. Argumenty, choćby najbardziej bijące w oczy, w niczem nie zmienią przebiegu głosowania nad przekazanym z senatu do sejmu projektem nowego ustroju państwowego. Nie w tej „płaszczyźnie" rzecz się przecież dokonywa...

Jakkolwiekbądź, daje się dzisiaj stwierdzić fakt niewątpliwy: zanik zaciekawienia, zwłaszcza pośród warstwy oświeconej, wobec zagadnień życia publicznego, odwracanie od tego przedmiotu swej uwagi. Poszukajmy analogicznej epoki w dziejach: kiedyż w historji dawnej Rzplitej znaleźć możemy podobny nastrój „apolityczności"? Chyba nie będzie to okres Złotego Wieku, kiedy echo rozpraw sejmowych roznosiło się jak Polska długa i szeroka, kiedy całe wogóle piśmiennictwo, poezji nie wyłączając, wciągnięte było w krąg wydarzeń politycznych, pochłaniających wszystkie żywsze umysły w kraju? Chyba nie będą to czasy Jagiellonów, czasy Wazów? Na myśl przychodzi epoka saska, kiedy wybitne pisma publicystyczne (np. Dunina-Karwickiego) pozostawały, dla braku zainteresowania, w rękopisach, a ks. Stanisław Konarski, układając słowo wstępne do dzieła „O skutecznym rad sposobie", nie bez melancholji zauważał: „Ta się więc książka czytelników nie stracha, ale się nieczytelników obawia"...

— — — — — — — — — — — —

Kiedy, zasuggerowany tą myślą, jąłem dokładniej zastanawiać się nad dobą Augusta II i Augusta III, poczęła ona zarysowywać mi się w jakiemś nowem świetle, dostrzegłem w niej rozmaite objawy i znamiona, które musiałyby budzić pełne uznanie u dzisiejszego, „państwowo" wychowanego obywatela.

Więc przedewszystkiem: niezaprzeczona w tem sześćdziesięcioleciu likwidacja „sejmowładztwa". Wprawdzie sejmy formalnie bynajmniej nie zostały zniesione, nazewnątrz nic jakgdyby nie uległo zmianie, w rzeczywistości jednak, ustawicznie zrywane, w przeważnej mierze straciły wpływ na faktyczny bieg spraw państwowych, ograniczając niekiedy swoją rolę do zatwierdzania uprzednio już, przez inne czynniki powziętych decyzyj (np. pamiętny „sejm niemy"). W tych warunkach działalność Głowy Państwa uniezależniona została, w praktyce, od „demoliberalnej" kontroli sejmowej, co tembardziej zasługuje na uwagę, że program polityczny Augusta II streszczał się przecież w „narzuceniu Polsce silnych, możliwie absolutnych rządów" (t. zw. zasada „nadrzędności" Głowy Państwa w ustroju Rzplitej). Charakterystyczne też dla tego okresu jest urzeczywistnienie ideału „trwałości rządu", w znaczeniu możliwie jaknajdłuższego utrzymywania się tych samych jednostek i grup u steru: taki Brühl, naprzykład, rządził przecież w ciągu lat zgórą dwudziestu pięciu!

Niezależność naszej polityki zewnętrznej objawiała się wtedy, jak wiadomo, w złych stosunkach z Francją, tudzież w zbliżeniu z Prusami. Zerwano ze „złemi obyczajami" z czasów Zamoyskich i Żółkiewskich, kiedy sprawy układów międzynarodowych omawiano i rozstrzygano w dyskusji sejmowej, natomiast Głowa Państwa, nie zmuszona liczyć się ze zmiennemi nastrojami opinji publicznej, nie potrzebując ujawniać przed nią swoich planów, mogła prowadzić politykę samodzielnie, nie zwracając uwagi na popularność, jak to widać w stosunkach Augusta II z ościennemi mocarstwami.

O wolnomyślności i duchu postępowym ówczesnej elity państwowej najlepiej świadczy fakt założenia—w tej epoce właśnie — organizacji masońskiej w Polsce oraz udział w zakonspirowanych lożach najwybitniejszych dygnitarzy. Z tem też w związku był najprawdopodobniej humanitarny duch tolerancji, wyrażający się np. w usunięciu, w szeregu miast, średniowiecznego przywileju: *„de non tolerandis Judaeis"*.

Pedagogika w tej dobie kładła nacisk na dobre zorganizowanie wywiadu o uczniach, oraz na wpojenie w nich pozytywnego stosunku do współczesności, dużo więc czasu, obok lekcyj, poświęcano na aktualne obchody, uroczystości na cześć osób wysoko postawionych i t. d.[1]) Tenże sam pozytywny stosunek do spółczesności uwydatnia się także w literaturze tego okresu.

Czem jednakże byłaby najświetniejsza nawet epoka, bez mężów kierowniczych, bez genjusza opatrznościowego, bez wodza? Posłuchajmy, co o szczęściu czasów saskich pod tym względem powiadali „miarodajni" ich przedstawiciele. Oto sło-

---

[1]) Michał Bobrzyński odzywa się o tych metodach tonem negacji, godnym doprawdy dzisiejszej prasy opozycyjnej. Zaprowadzono w szkołach — pisze — „system wzajemnego szpiegowania się jako obowiązek i cnotę, a ten, kto w szkole nauczył się zdradzać zaufanie kolegów, nie miałże później zdradzać własnego króla i własnej ojczyzny... Obok największej swawoli... i rozpróżniaczenia młodzieży przez nieustanne festyny i uroczystości, prawdziwym symbolem szkół jezuickich stał się przecież „bizun""... (Michał Bobrzyński, „Dzieje Polski" t. II, 1881, str. 269).

wa, jakiemi Krzysztof Stanisław Zawisza [2]), marszałek sejmu, charakteryzuje postać Augusta II:

„Godzi się waszej królewskiej mości z Platonem przypisać, żeś jest *rex deus quispiam humanus*, bo w dzielności twojej, męstwie i odwagach, w potędze i majestacie, któremi pokazywałeś i pokazujesz... nic ludzkiego nie masz, ale raczej coś boskiego.

Niechaj tam wieki, i dawniejszych czasów polskie kroniki sławę światu polskich monarchów wystawują... ja krótko powiadam, że nam wieki zazdroszczą!.. Co świat we wszystkich przez niemałe wieku przeciągi uważał, uznawał, chwalił, to my w jednym tobie razem widzimy wszystko, adorujemy i bez podchlebstwa wyznawamy prawdziwą a nieobłudną wiarą. W tobie Lecha fortuna... i szczodrobliwość Piasta... Mieczysława bogobojność, Bolesława Chrobrego męstwo i siła, Bolesława Śmiałego wspaniałość, Kazimierzów dwóch pobożność i sprawiedliwość — albo równo, albo lepiej i bardziej skoncentrowane...“

JAN REMBIELIŃSKI

[2]) „Wybór mów staropolskich świeckich, sejmowych i innych“, zebrał Antoni Małecki, Kraków, 1860, wyd. K. J. Turowskiego, str. 153.

GŁOSY

PRZEZ OSTATNICH PIĘTNAŚCIE LAT naród upajał się ideą wodza. Nawyk ten stał się obecnie jedną z głównych przeszkód na drodze ku normalizacji politycznej. Od czasu odbudowania państwa staliśmy się istotnie normalnie zwartem społeczeństwem politycznem w tym sensie, iż zatarły się w bardzo wielkiej mierze różnice między rzeczywistemi programami politycznemi. Zabrakło bowiem pola dla fantastów. Poglądy na to, czego Polsce potrzeba, ujednostajniły się bardzo znacznie, kiedy zaczęto mieć do czynienia z Polską konkretną. Upodobniliśmy się pod tym względem do społeczeństw zachodnioeuropejskich.

Nawet w kwestjach tradycyjnie spornych, takich, jak stosunek do Rosji albo do traktatu o „mniejszościach" — znikają różnice, odkąd „sanacja" — mniejsza o to, czy nieudolnie — zaczęła wykonywać program „endecki." W tych warunkach, wynikających przedewszystkiem z istnienia konkretnego państwa — szczególnym anachronizmem stało się rozpowszechnione, acz płytkie przekonanie, że Polsce grozi zguba, jeżeli nie będzie mieć wodza. Przyzwyczajono się patrzeć na wodza, jako na zbawcę, właśnie wtedy, kiedy stał się doskonale zastępowalny, bo nie miał żadnego własnego programu zbawienia. Instytucja wodza stała się w następstwie tego nie pomocą, lecz przeszkodą w organizacji politycznej społeczeństwa. Znakomicie dyscyplinowała koterje, ale naród niemiłosiernie rozbijała, właśnie kiedy znikać zaczęły po temu wszelkie racje. Tak urzeczywistnił się ostatecznie paradoks, że Polska pozostaje teatrem zaciętej walki domowej, gdy postępujący zanik różnic w myśleniu politycznem uczynił ją już prawie społeczeństwem normalnem — bo naród jest wspólnotą.

Instytucja wodza stała się w tych warunkach kosztownym przeżytkiem. We wspólnocie moralnej narodu tkwi jego siła. Szkodliwą więc dlań była instytucja, która przeszkadzała mu zebrać pożytki, wynikające z tego, że się politycznie jednoczy. Poza wszystkiem wprowadziła ona do polityki system nieszczerości. Zwolennicy jej musieli tłumaczyć społeczeństwu, że dobrodziejstwa instytucji są niezastępowalne, gdy w rzeczywistości stały się zastępowalne doskonale. Koniecznem było utrwalać te złudzenia. Stąd znany dobrze pierwiastek nierealności i sztuczności w myśleniu politycznem starych i młodych, niezgodnych często co do osoby wodza, ale wierzących ślepo w samą instytucję.

Szkodliwość jej razi wręcz okrutnie, gdy zważymy, że uczy ona naród niewiary we własne siły. Jest to jeden z najsilniejszych argumentów na rzecz instytucji wodza w ustach jej zwolenników, i najmocniejszy dla niej wyraz potępienia u tych, co w naród wierzą. Wiara ta polega na tem, że narodu nie uważa się za coś, co w praktyce nie ma znaczenia, i nie jest żadnym porządkiem, żadną organizacją, — lecz właśnie, iż uznaje się w nim podstawowy i najdonioślejszy praktycznie porządek i organizację. To też dla tych, co wierzą w naród, szczególnie bezsensowny wydawać się musi argument, że bez wodza nie może być porządku. Przebija w tym argumencie głęboko zakorzenione u zwolenników instytucji wodza lekceważenie dla prawa. Chociażby nie wierzyli w genjusz polityczny i twórcze zdolności wodza, uważają go jednak za ostoję przed anarchją. Choćby wodzostwo było fikcją, w rozumieniu ich jest fikcją pożyteczną. W rozumieniu naszem szkodliwe jest zwłaszcza i nadewszystko wtedy, gdy jest (w sensie twórczości politycznej) fikcją. Nic niebezpieczniejszego dla narodu cywilizowanego, jak przyzwyczajenie się do barbarzyńskiej idei, że bez silnego człowieka na czele państwa nie byłoby porządku. Podważałoby to wręcz moralne podstawy egzystencji, narodu, polegającej na tem, że jest on sam sobie ustalonym prawem i porządkiem, niezależnym zupełnie od istnienia wodzów. Nieuchronna dlatego w każdym narodzie cywilizowanym, któremu przypadek ześle wodza, jest zgubna rywalizacja między wodzem i prawem.

Pocóż byłyby „rządy silnej ręki", gdyby prawo równie skutecznie gwarantowało porządek? Wódz wtedy staje się potrzebny, gdy może okazać się silniejszy od prawa, potargać w każdej chwili więzy jego jak pajęczynę. Istnienie jego i wywyższanie równoznaczne być musi z poniżeniem istniejącego porządku prawnego. Wiara w wodza pospolicie łączyć się musi z niewiarą w wartość tego istotnego elementu wspólnoty moralnej narodu. Kult wodza nieodłączony jest prawie od grzechu niewiary w naród.

Z DZIEJÓW WOLNOMULARSTWA

OSTATNI „KWARTALNIK HISTORYCZNY" (rocznik 48, zeszyt 3), redagowany umiejętnie przez prof. Teofila Emila Modelskiego, przynosi na wstępie rewelacyjne studjum K. M. Morawskiego p. t. „Bractwo wrogów wstrzemięźliwości".

Na blisko 50 stronach swej obszernej rozprawy rozsnuł znany historyk, doskonały znawca czasów saskich i stanisławowskich, swą opowieść o masonerji saskiej, która zrazu występowała pod postacią pijackich związków i bractw. Historja jednego z takich związków — drezdeńskiego „Brac-

twa wrogów wstrzemięźliwości" stanowi treść studjum K. M. Morawskiego.

Na podstawie bogatego materjału archiwalnego ustala nasz historyk genezę bractwa i — przebiwszy się przez gąszcz faktów i wiadomości — dochodzi do wniosku, że pozornie niewinny związek drezdeński, a zwłaszcza jego filja berlińska, miały bardzo grzeszne projekty polityczne, jak np. rozbiór Polski. Jak widzimy, przedmiot wart mozolnych badań i wielką zasługą K. M. Morawskiego pozostanie, że nie wahał się podjąć trudnych, odłogiem pozostawionych studjów nad dziejami tajnych związków.

Podmalowawszy obszernie tło historyczne i atmosferę duchową, w jakiej wyrósł twórca projektu założenia „Bractwa wrogów wstrzemięźliwości", król polski August II, (od małego wtajemniczany przez Beichlinga, a potem Paulego i in. w arkana magji: alchemji, geomancji, astrologji i kabalistyki, we krwi już posiadający tradycje okultystyczne, odziedziczone po przodkach, z których dwu należało do tajnego „Zakonu Palmowego"), określa następnie Morawski ustrój pijackiego bractwa na podstawie zachowanych w archiwum prusko-branderburskiem w Charlottenburgu statutów drezdeńskiego „Okrągłego stołu". Liczba uczestników biesiady wynosić miała 12 osób (8 mężczyzn i 4 kobiety), wśród wspóbraci panować winna równość zupełna, współbiesiadnicy byli obowiązani do zachowania ścisłej tajemnicy i t. d. Udało się również Morawskiemu ustalić listę domniemanych uczestników drezdeńskich biesiad, o ile się one istotnie odbywały w podziemiach pałacu kurlandzkiego. Nie można bowiem z absolutną pewnością ustalić, czy i jak długo się bractwo zbierało, gdyż nie znaleziono dotąd protokułów posiedzeń saskiej organizacji tajnej.

Istnieją natomiast w archiwum drezdeńskiem, wydane przez Beschornera, a przez Morawskiego poprawione i należycie odczytane, świstki, zapisane własnoręcznie przez Augusta Mocnego, które wymieniają dygnitarzy „Okrągłego Stołu". Z kobiet figurują w zapiskach królewskich: Anusia Orzelska, Coslówna, Urszula Lubomirska, panna Dieskau, Denhoffowa i in.; z mężczyzn: gruby Gucio (późniejszy August III, pseudonim „kapral"), dwóch ministrów saskich: Jakób Henryk Flemming i Ernest Krzysztof von Manteuffel (zwany „djabłem"), główny reżyser „Bractwa wrogów wstrzemięźliwości", mason, dalej ambasador hiszpański, książę Liria y Xenica, hr. Loss, Königseck i in.; galerję Polaków stanowią: Jan Klemens Branicki, Jan Aleksander Lipski, z czasem prymas i kardynał, Bieliński, Lubomirski, ks. Rozdrażewski, ks. Antoni Dembowski i in.

Z całą pewnością natomiast istniała i działała filja drezdeńskiego „Bractwa wrogów wstrzemięźliwości" w Berlinie.

W marcu 1728 r. wysłał August do stolicy pruskiej kpt. Karola Pöppelmanna z pismem odręcznem, zawierającem nominację Fryderyka Wilhelma I na „kompatrona okrągłego stołu" z prawem zwoływania i odbywania zebrań stowarzyszenia, przyjmowania nowych współbraci i t. p. Dokument opatrzony był pieczęcią związkową, wskazującą na pokrewieństwo bractwa z „Zakonem Różokrzyżowców".

Filja berlińska bractwa schodziła się, jak o tem świadczy ogłoszony przez P. Haakego tekst protokułu jednego z posiedzeń. Prezydentem berlińskich pijaków był Grumbkow. Zebrania odbywały się „w pokoju, oświetlonym świecami w samo południe", czyli z zachowaniem pewnego rytuału, pito z puharów o specjalnym, rytualnym również kształcie.

Do bractwa berlińskiego należeli tylko mężczyźni.

W Berlinie za kulisami pijackich uczt dojrzewał i w Dreźnie był, jak się zdaje, podsuwany „wielki plan" polityczny... rozbioru Polski.

August II już w r. 1703 gotów był dzielić Rzeczpospolitę między siebie, króla Fryderyka i króla Karola. W r. 1709 i w r. 1710 wypływają znów na widownię plany podziałowe w pertraktacjach między Berlinem a Drezmem, a w r. 1721 obwożą „wielki plan" dwaj żydzi augustowi: Lehmann i Meyer. Potem znów próby rozbioru odżyły i dopiero śmierć Augusta Mocnego przerwała niecne zamiary.

Tak w krótkości wyglądają wyniki źródłowych badań K. M. Morawskiego.

Znaczenie rozprawy naszego historyka polega przedewszystkiem na tem, że pierwszy przeciął milczenie, jakiem nauka polska otoczyła dzieje tajnych związków, odgrywających dużą nieraz rolę w kierowaniu wypadkami na przestrzeni XVIII i XIX zwłaszcza stulecia. Zapanowała jakby zmowa między historykami, nikt nie śmiał ruszyć zakazanego tematu.

To też nielada śmiałkiem okazał się Morawski, podejmując dzieło zbadania misternie poplątanych działań masonerji oraz tajnych związków pochodnych lub poprzedzających powstanie dzisiejszego wolnomularstwa.

Brak źródeł, jakim niektórzy tłumaczą niechęć historyków do zajmowania się dziejami tajnych związków, nie wyjaśnia milczenia uczonych.

Po pierwsze, zarówno studja Skałkowskiego, jak Morawskiego świadczą niezbicie, że można znaleźć źródła do dziejów masonerji, po drugie nie trzeba obawiać się stawiania hypotez, jak to czyni ostrożny zresztą Morawski.

Ileż w dziełach historycznych, pisanych na inne tematy, postawiono hypotez i ile już ich obalono, a przecież nikt nie odmawia tym pracom wartości naukowej!

Studjum zatem Morawskiego — bez względu na pewne modyfikacje, którym może z czasem ulec w szczegółach — staje w rzędzie prac pionierskich w najbardziej dotąd zaniedbanej dziedzinie prac historycznych.

Drugim artykułem, zamieszczonym w „Kwartalniku", a poświęconym również XVIII-mu stuleciu, jest „Przegląd źródeł do Konfederacji Barskiej", pióra znanego historyka prof. Wł. Konopczyńskiego.

Imponujący to przegląd 25-letniej, benedyktyńskiej iście pracy autora dziejów Konfederacji Barskiej, które zalegają dotąd w rękopisie i doskonały do niej wstęp. Jakkolwiek zaginęło archiwum Generalności Konfederacji Barskiej, prof. Konopczyński umiał zgromadzić mnóstwo innych, ocalałych aktów i przekopał się przez całe morze dokumentów, zajrzał do wszystkich dostępnych bibljotek publicznych i prywatnych w kraju i zagranicą, przejrzał ni mniej, ni więcej tylko okrągło miljon (!) aktów, mających związek z dziejami konfederacji. „Przegląd źródeł do Konfederacji Barskiej" to nieoceniony przewodnik po labiryncie, jaki stanowią źródła do dziejów konfederacji.

W dziale „Miscellaneów” W. Lipiński dowodzi, że djarjusz wojny moskiewskiej (1632 — 1634), zwany przez historyków „djarjuszem Krzysztofa Radziwiłła” nie jest dziełem Radziwiłła tylko Jana Moskorzewskiego.

Ciekawy zeszyt „Kwartalnika” zawiera jeszcze bogaty dział recenzyj i sprawozdań, poczem idą zapiski informacyjne, kronika naukowa i polemika. TAD. B.

NAUKA i LITERATURA

„WIERCHY”

UKAZAŁ się rocznik XII „Wierchów”, wydawnictwa poświęconego górom i góralszczyźnie. Jest to organ Pol. Tow. Tatrzańskiego, wydawany przez Zarząd Główny tego T-wa pod redakcją naczelną Jana Gwalberta Pawlikowskiego i prof. Walerego Goetla. „Wierchy” mają znaczenie nietylko specjalne, jako organ alpinistyki, lecz w tej redakcji są nieocenionem źródłem wiedzy literackiej.

Na początku nowego rocznika J. Gw. Pawlikowski zamieścił niezwykle interesujące studjum „Z dziejów poezji tatrzańskiej” (1 — 33). Jest to właściwie część pierwsza większej całości, obejmująca „prehistorję” poezji nowoczesnej Tatr, która się zaczęła w czasach romantyzmu. Od czasu odkrycia Tatr przez poetów i wogóle artystów zaczęła się nowa era współżycia duchowego Polski z górami. Pawlikowski tak rozpoczyna swoje studjum:

„Wokół Tatr owinął się bujny wieniec poezji. W poezji leży najwymowniejszy wyraz uczuć, jakie w sercach budzą Tatry, wyraz, którym wypowiadają się przedewszystkiem sami poeci, natury szczególnie wrażliwe lub szczególnie do wypowiedzenia się uzdolnione, ale zarazem wyraz poddany ogółowi, niby modlitewnik, dany w ręce tym, których usta pełni serc sprostać nie mogą. A przytem jest poezja dla tych serc nietylko wyrazem, lecz i nauczycielką. Ona uczy patrzeć, odsłania to, co dla zwykłych oczu było ukryte, budzi piękno z martwych... pomnaża Tatry”.

Mamy w tych słowach jedno z piękniejszych określeń, czem jest poezja w sprawie poznania.

Ale poezja jest także cennym przedmiotem poznania dla badaczy. „Tatry poznaje się” — mówi autor — „nietylko od strony materjalnej, ale i duchowej”. Poezja tatrzańska otworzyła pole do badań geo-psychiki.

Pawlikowski sięga do początków wiedzy literackiej o Tatrach przed Staszicem, nawet do zachowanych w „spiskach”, zwłaszcza Chrościeńskiego z w. XVII, dotyczących poszukiwania skarbów, a mających ze względu na wyobraźnię pewną dozę poetyckości, Jest to wszystko „prehistorja” prawdziwej poezji artystycznej. Zarzucić można autorowi, że nie dał w motywach swej pracy wyjaśnienia, dlaczego nie zaliczył do prehistorji — folkloru tatrzańskiego. Ale pominął go pewno dlatego, że folklor nadaje się na specjalne studjum. Z innych prac Pawlikowskiego wiemy, że zalicza on lud i folklor do tła przyrody, która jest przedmiotem poznawania poetyckiego. On sam zajął się podmiotową stroną twórczości.

Z innych prac tomu XII na szczególną uwagę zasługuje studjum J. Pieniążka „O ginącym stroju ludowym i ostatnich jego wytwórcach” (w okolicach górskich, przeważnie ze Spisza i Orawy). Autor zilustrował pracę bardzo ładnemi zdjęciami ze swych własnych akwarel. Parę z nich „Wierchy” podały w osobnych planszach kolorowych.

Dalej mamy w tym tomie obszerną pracę J. Szczepańskiego „Dzieje współczesnego taternictwa zimowego” (z 5 ilustr.). Następnie bardzo ciekawy artykuł prof. Juljana Krzyżanowskiego „Na szlakach tatrzańskich poszukiwaczy skarbów” (3 ilustr.); dalej Jul. Zborowskiego „Zapomniany podróżnik tatrzański (Teodor Mundt)”. Jest to bardzo cenna wiadomość o dzienniku wycieczki Niemca, fejletonisty z Lipska, Mundta (1808 — 1861), wycieczki dokonanej w r. 1839. Wreszcie w dziale rozpraw mamy bogato ilustrowany opis „Polskiej wyprawy alpinistyczno-naukowej w góry Ameryki Południ.” przez S. W. Daszyńskiego.

Drugą połowę zeszytu (s. 207 — 224) zajmuje przebogata kronika i przegląd piśmiennictwa.

„Wierchy” należą do wydawnictw artystycznych. Wydawane są na papierze ilustracyjnym. Wykonanie klisz bardzo staranne. Druk Anczyca. Dokładność redakcyjna — wzorowa. Każdy, kto choć cokolwiek interesuje się Tatrami i ma w sobie odrobinę „geo-psychiki”, powinien czytywać „Wierchy”.

Informacja: Do redakcji „Wierchów” adresować należy: Biuro Zarządu Pol. Tow. Tatrzańskiego, Kraków, ul. A. Potockiego 5. Tamże administracja. W.

CZŁOWIEK ZMIENIA SKÓRĘ

KOMUNISTYCZNA ekspansja Sowietów już od szeregu lat — zwłaszcza w Azji — przybrała wyraźne znamię rosyjskiego nacjonalizmu wojującego. To też reakcją „dobrowolnie przyłączonej” ludności — pomijając zasadniczy opór przeciw kolektywizacji gospodarstw t. zw. „kułaków”, czy też małorolnych — tłumaczyć należy codzienne ostre starcia administracji rosyjskiej z obcoplemiennym elementem miejscowym. Uszczęśliwianie t. zw. dzikusów przez państwa kapitalistyczne odpadkami cywilizacji europejskiej stało się w XIX-m stuleciu obowiązującą modą. Pionierzy niwelującego, wszechświatowego postępu przeprowadzali przy sposobności korzystne tranzakcje, z czubem wyrównujące nakład sił i myśli, włożony we wzniosłą sprawę niecenia światła. Państwo bolszewickie, odżegnujące się od „zgniłych” kapitalistycznych metod budownictwa świata, z ujmującą prostotą przejęło wszystkie grzechy starego *régime*'u.

O tem, w jaki sposób się zdziera skórę z Afgańczyków, Tadżyków i Uzbeków, szeroko opowiada Bruno Jasieński (Zysman) w żywo pisanej książce p. t. „Człowiek zmienia skórę”. Do tej zmiany powierzchowności pomaga tubylcom partja komunistyczna, której narzędziem wykonawczem — *Gepeu*. Oczywiście partja, jako aktyw polityczny, potrafiła zaprząc do roboty zdolniejszych z pośród miejscowej ludności, robiąc z nich patrjotów systemu, zrywających dotychczasowe więzy rodzinne i narodowe. Ostatecznie, nie będziemy się zbytnio dziwić, sabotującym budowę sieci wodnej, dechkanom — budzi natomiast wstręt taki inżynier Urtabajew, Tadżyk, oddający własnego ojca za udział w przygotowaniu powstania w ręce *Gepeu*. Ten motyw zbudowania nieprzebytej zapory w rodzinie między synem-komsomolcem, wrosłym już w środowisko partyjne, a ojcem-muzułmaninem i tradycjonalistą, brzmi stałym refrenem przekonania o zbędności „szczątkowego“ organu hierarchji społecznej — rodziny. W tym duchu wychowuje działaczy komunistycznych *Gepeu*, mająca w repertuarze aż nazbyt wiele... środków pedagogicznych. Jednym z nich to więzienie, pojęte jako izolacja. ...„Naturalnie, izolacja sama nie przekonywa. Potrzebna jest ludzka pomoc” (str. 201, t. I)—wiemy coś o tem i słyszeliśmy tę nutę...

Sprawy komsomołu, jako zagadnienia „młodych“, z pośród których rekrutuje się późniejszy aktyw polityczny w państwie, nie można trywjalizować przez sprowadzenie jej wyłącznie do programów i instrukcyj partyjnych, gdy jedynie ważny jest tutaj wewnętrzny głos krwi, instynkt narodowy. Ten instynkt potrafi niekiedy spłatać figla nawet najbardziej pewnym swych pupilów „kierownikom zespołów”.

Autor przypomniał się i tutaj jako osobisty wróg katolickiej Francji (reminiscencje z „Palę Paryż!"): amerykański „spec", inżynier Clarke, przyglądając się w Moskwie reklamie sowieckiej firmy samochodowej, umieszczonej na gzymsie cerkwi, „obliczył, na ile taniej wypadłoby Citroën'owi, gdyby, zamiast wypisywać żarówkami elektrycznemi swe nazwisko poprzez całą wysokość wieży Eiffla, — poprostu postawił swój samochód na szczycie Notre-Dame. Byłoby to znacznie efektowniejsze! I Clarke zaśmiał się już po raz trzeci" (str. 11).

Przekład p. Arno Lorie niechlujny: już samo naszpikowanie tekstu brzydkiem fonetycznie słówkiem „wszak" dyskwalifikuje tłumacza, cóż dopiero, gdy na dobre zagłębimy się w ten „ogród, ale nieplewiony"?

ES

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Warszawa nie ma okolic tak pięknych i urozmaiconych jak Kraków, Lwów lub Wilno, jednakże można tu znaleźć partje urocze, słynne zabytkami, a niekiedy ciekawe pod względem przyrodniczym. Niestety, coraz ich już mniej! Miasto-olbrzym zagarnia w siebie te miejscowości i nie pozwala im istnieć, niszczy ich urodę. Jak rąbie się dziś starodrzew w Łazienkach, a hałaśliwemi megafonami przepłasza się słowiki, tak niezadługo zapewne wyrąbie się park wilanowski, by zbudować nowy jakiś — znów pusty — bank lub hotel...

Rezerwatem przyrody jest pod Warszawą — a raczej już w jej obrębie — lasek bielański. Oby tylko ocalał dłużej i nie podzielił losu wielu innych zakątków, których klasztorną, kontemplacyjną ciszę, zgłuszono blichtrem tandetnej pseudo-kultury!... Można mieć co do niego jeszcze jaką taką nadzieję, bo oto pomyślano o tem, by jego swoisty pod każdym względem charakter zużytkować do celów pedagogicznych. Ten najdostępniejszy dla Warszawianina teren wycieczkowy, zwiedzają nieraz rzesze uczniowskie, odnosząc stamtąd nietylko wrażenie estetyczne, ale także wspominki historyczne (Władysław IV, Konarski, Staszic), a wreszcie wiadomości geologiczne, mineralogiczne, botaniczne. Korzyść z takich wycieczek, oczywista rzecz, osiąga się tylko przy umiejętnem ich prowadzeniu. Bardzo ciekawy poradnik takich wycieczek („Bielany pod Warszawą", przewodnik dla wycieczek geograficzno-przyrodniczych) wyszedł teraz nakł. Książnicy-Atlasu, w opracowaniu prof. F. Różyckiego i T. Postkowskiego. Czekamy na następne! (J. B.)

MUZYKA

FILHARMONJA. — Koncert piątkowy rozpoczęto poematem symfonicznym „Stanisław i Anna Oświecimowie". Głęboki utwór Karłowicza, grywany ostatniemi czasy dość często, nabrał szczególnego blasku i niezwykłej plastyki dzięki prawdziwie mistrzowskiemu ujęciu przez H e r m a n a A b e n d t r o t h a. Bo Abendtroth jest mistrzem w pełnem słowa tego znaczeniu. Mówić o cechach jego sztuki dyrygenckiej, to wyliczać cały długi szereg najlepszych określeń. Przeprowadzenie np. „Eroiki" Beethovena osiągnęło poziom, jaki spotkać można tylko bardzo rzadko.

Zdania, wskazujące na ogromną trudność interpretowania dzieł wielkiego samotnika z Bonn, nie należą do frazesów. Jakże nietrudno uczynić mu krzywdę! Wystarczy go oddać w niepowołane ręce, ażeby doznać przykrego wrażenia, jakie wywiera każde spłycenie, czy nawet — jak niejednokrotnie bywa — strywjalizowanie.

Abendtroth mocą swej siły scalił grę całego zespołu, podporządkował go swojej koncepcji, zwracając w jednym kierunku. Byliśmy też właśnie świadkami niebywałego skupienia orkiestry, dla której również trudno znaleźć słów uznania, bez obawy wpadnięcia w stek wyrazów, mogących nosić charakter najpospolitszych komplementów.

„Eroika"! W jakże inne czasy nas przenosi, jak wyraźnie ukazuje nam człowieka, miarę jego porywów i świata, który w sobie nosił. Czy nie można się tu już dopatrzyć przebłysków mającego się zrodzić romantyzmu? Ależ chyba nie — romantyzm nie był nawet jeszcze w powijakach, tworzyło się dopiero podłoże, na którem wyrósł. Czego więc przejawem jest treść symfonji?

Może się znajdą jacy bezkrwiści teoretycy, którzy znając dzieje powstania dzieła, odnajdą w niem cechy owej późniejszej „programowości"? Może — dyskusję jednak w tej sprawie pozostawiam innym. „Eroika", to przejaw tęsknoty do rzeczy wiecznych, wartości trwalszych ponad modę, styl, czy manjerę. Szczęśliwe czasy, rodzące ludzi, pragnących wyrazić wielkość, która w nich tkwi. To zupełnie co innego, aniżeli najświetniejsze choćby, wyrafinowanie w formie. To była sztuka, nosząca w sobie pierwiastki wieczności, im podporządkowująca stronę formalną, która w wysiłku sprostania zadaniu stała się czemś, co nas zadziwia po dzień dzisiejszy. Stąd brak jakichkolwiek kolizyj, nieporozumień, czy nawet nieporadności, spotykanych tak często potem, a zwłaszcza obecnie, gdy tak trudno jest treść pogodzić z tym całym zasobem zdobyczy w dziedzinie formy, które są nabytkiem, bardzo zresztą cennym, lat ostatnich.

Opuszczało się salę z przejęciem. Jedna symfonja Beethovena więcej nauczyła, niż całe tysiące stronic wydrukowanego papieru, wyrzucanych codziennie przez setki maszyn rotacyjnych. I była... dziwnie bliska. Czy dzisiejsza? Nie wiem. To wiem jednak, że podobna do tego dnia jutrzejszego, do którego wszyscy dążymy.

Koncert fortepianowy Głazunowa, oraz preludjum Rachmaninowa i walca *f-dur* Chopina odegrał bardzo dobrze W i k t o r Ł a b u ń s k i.

W. NARUSZ

FILM

CASINO: „Córka generała Pankratowa" reż. Mieczysław Znamierowski.

Są tu potrosze jakby reminiscencje pewnych fragmentów z „Urody życia", tych, które ukazują, jak się dusza polska w Piotrze Rozłuckim budziła. Istotą, zwracającą się ku polskości, jest w tym filmie młoda dziewczyna, Rosjanka, córka generała, którego żona, a jej matka, była Polką. Szkoda tylko, że pobudką do powrotu „na ojczyzny łono" (w przenośni) staje się miłość do młodego i pięknego rewolucjonisty (Brodniewicz), co każe nam mocno powątpiewać o zupełnej ideowości tych intencyj patrjotycznych panienki. Kobieta pod wpływem miłości gotowa jest nieraz w niejedno uwierzyć, jeżeli to może się przyczynić, w jakiejkolwiek mierze, do urzeczywistnienia jej pragnień. Ale z takich wyznawczyń mała pociecha.

Tłem filmu są zdarzenia z 1905 roku. Najlepiej przedstawia się początek, dobrze pomyślany kinowo, żywy, prędki, zwarty, pomysłowy w montażu. Potem, gdy fabuła dochodzi do głosu, wypadki poczynają się toczyć zwykłą koleją rzeczy. Mamy jeszcze na okrasę kilka pomysłów montażowych, kilka dobrze skomponowanych na prostokącie ekranu scen, np.: scena, w której widzimy głowę zranionej (Bogda) i skrawek łóżka, scena pojmania szpiega.

Pozatem, właśnie fotografja, przez niektórych specjalnie chwalona, nie podoba mi się. Może jest czysta, ale przytem niesłychanie bezbarwna; pod względem plastycznym, oprócz wspomnianych scen i początku, nic nie daje. Te niedostatki fotografji bardzo niekorzystnie odbijają się także na t. zw. zbliżeniach aktorki, występującej w głównej roli (Nora Ney). Niedość, że operator (Steinwurzel) niewłaściwem zdjęciem stale ją oszpeca (miast soczystym i głębokim światłocieniem interesująco uwydatnić plastykę twarzy), jeszcze przytem pokazuje szminkę! Może tu i charakteryzator zawinił.

Niektóre zdjęcia, zwłaszcza wnętrz, wprost bezwalorowe: twarze, ściana, tło — wszystko białe.

Reżyserja naogół poprawna. Parę dłużyzn.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

A możeby jednak skończyć już raz z temi sołdatami, stupajkami i gwardiejcami? Może już dosyć o „bywszej Rassieji", co?

KANDYD

ZE ZŁOTEGO WIEKU

I. Z KONSTYTUCJI SEJMU WALNEGO R. 1557.

A ŻYDOWIE aby końmi przekupować nie śmieli. A któryby się ważył tego, tedy przez starostę ma być iman, a konie mu być wzięte, a sam obwieszon ma być bez folgi.

— — — — — — — — — — — — — —

A iż też posłowie skarżą się, że przez żydy wszystkie handle i żywności mieszczaństwa poddanym naszym są odjęte, rozkazujemy, aby w tej mierze był zachowan statut *anni* 1538, § *Volomrs praeterea*; ktemu aby żyd żup, ceł, karczem i najmów żadnych nie trzymał, tak jak statut o tem uczy...

II. Z KONSTYTUCJI SEJMU WALNEGO R. 1570.

A iż też w tym się silny nierząd dzieje, że w Koronie naszej niektórzy chrześcijanie żydom służą, ustanawiamy i rozkazujemy, żeby pod winą sta grzywien na żyda, nie śmiał żyd chrześcijanina *utriusque sexus* za sługę sobie przyjmować; a chrześcijanin aby też zaś żydowi nie służył pod więzieniem. A iżby się to działo we wszystkich, tak w naszych, jak też w duchownych i pańskich mieściech i miasteczkach, rozkazujemy, żeby starostowie i burmistrzowie miejsc onych dojrzeli i statut egzekwowali. A wszakże to rozumieć się ma o czeladzi domowej *utriusque sexus*, którąby sobie w domach swych chować mieli.

1) Żaden żyd ani żydówka wraz z dziećmi i służącemi, bądź żydowskiemi lub chrześcijańskiemi, z rzeczami i towarami swemi, obywatelstwa i mieszkania na którychkolwiek gruntach, czy to miejskich, królewskich, duchownych i szlacheckich w mieście Starej i Nowej Warszawie i jego przedmieściach mieć nie będą, ani w tychże mieszkać nawet pod bytność królewską nie powinni, wyjąwszy tylko czas sejmowy, w którym dla handlu żydzi w mieście znajdować się mogą.

2) Żydzi, mający sprawy w Warszawie, bawić tu mogą, nie inaczej wszakże do miasta im wstępować i znajdować się w niem wolno, jak tylko za rekwizycją i pozwoleniem magistratu, jednakowoż bez możności sprawowania kupiectwa, rzemiosła, handlu i przeszkody w sposobie życia mieszczanom.

3) Żydzi na dwie mile około Warszawy, tak z tej, jak i z tamtej strony Wisły, na żadnych gruntach mieszkać i handlować lub rzemiosła sprawować nie mogą, a to pod konfiskatą dóbr.

4) Egzekucja rugowania żydów z Warszawy i okolic, nie uważając na żadne przeszkody i protekcje, nawet wyjednane u króla i jego następców listy ekscepcyjne, do magistratu Warszawy należy, teraz i na potem będącego, i tej nikt bronić nie może.

III. OPINJA PIOTRA SKARGI

(w „Żywotach Świętych")

Takiż jest pożytek tych nieszczęsnych żydów, okrom wielu innych szkód, które Kościołowi i Rzeczypospolitej, z jadu wrodzonego ku chrześcijanom czynią. Ich rabinowie wykład Pisma świętego starego zakonu psują; wszyscy wielekroć na dzień imię Pana naszego Jezusa srodze i haniebnie bluźnią, za co pomsta idzie na królestwa, które tego dopuszczają, a nie bronią takiej krzywdy Boskiej, gdy mogą. Heretykom zbroje na Kościół, wiele z nimi artykułów trzymając, dodają. Czarnoksięstwa uczą, lichwę w chrześcijany wmawiają, panów, rozmaite im zyski na arendach, mytach, karczmach, gorzałkach obiecując, okrucieństwa i ucisków nad poddanymi uczą, stan kupiecki psują. Czeladź chrześcijańską chowając, od Chrystusa je odwodzą i niewiasty chrześcijańskie, które im służą, brzemienne czynią, na wzgardę wielką krwie chrześcijańskiej. A gdy na mytach siedzą, a chrześcijany ściskają, wielka się dzieje imieniu Chrystusowemu zelżywość, iż się wierni tym bluźniercom Pana swego kłaniać muszą...

NOWE KSIĄŻKI

Drewnowski Jan Fr. Zarys programu filozoficznego. Warsz. 1934. S. 101.

Kipling Rudyard. Druga księga Dżungli. Przekład J. Birkenmajera, Poznań. R. Wegner.

Zollschan Ign. dr. Rasa aryjska a semicka. Przeł. Mat. Przemyski. Warsz. 1934. Wyd. Nowoczesne S. 255.

Wierczak Karol. Jak gospodarować w Polsce. Warsz. 1934. Str. Narodowe. S. 20.

Folkierski Władysław. Od Chateaubrianda do Anhellego. Rzecz o związkach między przedmistycznym okresem Słowackiego a romantyzmem francuskim. Kraków 1934. Nakładem Pol. Akademji Umiejętności. S. 162.

Bieniasz Józef. Narodziny bestji. Powieść. Lwów 1934. Bibl. Kresowa.

Smolarski Mieczysław. Hanna Krzemieniecka. Dzieje myśli i twórczości. Warsz. 1935. Skład gł. w Kasie im. Mianowskiego. S. 114 i portrety.

Życzyński Henryk. Mickiewicz w oświetleniu Odyńca. Lublin 1934. Odbitem z Pam. Lubel. Tow. Przyj. Nauk. S. 23.

Życzyński Henryk. Brodziński teoretyk sielanki. Lublin 1935. Odb. z Prądu. S. 14.

Glass Stefan. Samotna udręka (Poezje). Warsz. 1934. Dom Ks. Pol.

Borkowski J. i Stępowski St. 12 000 mil morskich na „Darze Pomorza". Warsz. 1934. Wyd. „Zorzy". Str. 64.

NA MARGINESIE

Na marginesie przypowieści Bolesława Prusa o filozofie i prostaku, którą podaliśmy w Nr. 3, jeden z czytelników nakreślił uwagę:

Takie filozofy pętają się koło projektu sanacyjnej Konstytucji. Tłumaczą prostackiej opozycji:

— Co ci po wolności, gdy ci odbierają ideę narodu?

— Ale czemu mi i to odbierają?

— Cóż ci po idei narodu, gdy nie będzie wolności?

Wszyscy się cieszyli, że państwo ma tak wielkich filozofów, tylko kulis-opozycja psuła radość ogólną swojemi niewczesnemi wrzaskami i skargami. Nikt jej jednakże się nie dziwił, albowiem dobrze wiedziano, że to prostak i nie zna się na filozofji.

*

Azja i jej obyczaje w Europie:

Łódzka „*Freie Presse*" donosi: „Przed niewielu dniami czterech Arabów, czyniło w starostwie w Warszawie starania o pozwolenie zatrzymania się w Polsce. Kiedy poddano ich przesłuchaniu, okazało się, iż przybyli do Polski przez Gdynię, w sposób nielegalny. Także cel ich podróży wyszedł przy okazji na jaw. Jak wiadomo, osiedlanie się żydów w Palestynie jest bardzo utrudnione. Aby zatem, przynajmniej kobietom żydowskim umożliwić emigrację, przyjeżdżali do Polski do ostatnich czasów, młodzi żydzi, posiadający już przynależność państwową palestyńską, aby zawierać w Polsce małżeństwa, które, natychmiast po przyjeździe do Palestyny, występowały o rozwód. W ostatnich czasach wszakże i te sposoby zaczęły ze strony władz palestyńskich napotykać na trudności. Ta okoliczność zaleciła skorzystanie z usług Arabów, którzy w tym względzie żadnym ograniczeniom nie podlegają. Za wysoką opłatą okazali oni gotowość udania się do Polski i pożenienia się tutaj z żydówkami, które w ten sposób uzyskałyby zezwolenia na imigrację. Dzięki odkryciu tych machinacyj i z powodu nieprawnego wjazdu do Polski starosta warszawski zarządził zaaresztowanie wspomnianych Arabów".

Se non è vero è ben trovato...

*

Przyczynek do dziejów języka polskiego:

BB = bebe = bebechy = jelita = elita.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM